

Joanna Sokołowska-
Gwizdka – laureatką
ZŁOTEJ SOWY
POLONII



„Złota Sowa Polonii” jest uhonorowaniem za dokonania twórcze, artystyczne, naukowe i społeczne dla przedstawicieli światowej Polonii, Polaków aktywnych poza Polską oraz obcokrajowców, którzy działają na rzecz polskiej kultury.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Została Pani tegoroczną - 2018 roku - laureatką Złotej Sowy Polonii. Nagroda przyznawana jest od 2005 roku za dokonania twórcze poza Polską.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

- Tak, spotkał mnie wielki zaszczyt. Nagroda jest przyznawana

przez Klub Inteligencji Polskiej w Austrii oraz redakcję pisma „Jupiter” za propagowanie polskiej kultury poza krajem w różnych dziedzinach. Ja ją otrzymałam w kategorii Literatura. Statuetka będzie wręczana na gali w Sali Sobieskiego Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu 24 marca br.

Czuję się niezwykle wyróżniona i doceniona. Pracuje się przecież nie dla nagród, podejmując wyzwania i wysiłek w ogóle się o nich nie myśli. Nie mniej jednak świadomość, że nasza praca nie pozostaje bez echa, że została zauważona, sprawia wielką radość.

Jest Pani autorką książki o Helenie Modrzejewskiej. Jak się zaczęło Pani zainteresowanie, które zamieniło się w pasję tą niezwykle postacią wielkiej aktorki? Za co możemy teraz - z perspektywy lat - podziwiać Modrzejewską?

- Zainteresowanie aktorką zaczęło się, gdy pierwszy raz odwiedziłam Kalifornię, na przełomie 1997 i 1998 roku. Uświadomiłam sobie wówczas, że to tu było jej miejsce, które sobie wybrała, miejsce wymarzone, gdzie stworzyła dom - oazę, wśród słońca i palm ze świeżym, morskim oddechem znad Pacyfiku. W Kalifornii są jedne z piękniejszych zachodów słońca, a białe szczyty gór, niczym mury tonących w kwiatach i zieleni hiszpańskich misji, gubią się w chmurach. I właśnie w takiej scenerii aktorka stawiała pierwsze kroki na deskach

amerykańskiego teatru, przemierzając wielokilometrowe dystanse.

Podczas tego pierwszego pobytu „w kraju Modrzejewskiej” zorientowałam się, że mimo wielu śladów w postaci m.in. nazw geograficznych, niewiele o aktorce wiadomo. Sama zresztą byłam ciekawa, kim była. Po powrocie do Polski zaczęłam więc ją poznawać. I tak nasza „znajomość”, nawiązywana z dłuższymi, lub krótszymi przerwami, trwa do dziś.

Helena Modrzejewska stała się dla mnie kimś bliskim. Wielokrotnie czytałam jej listy, wspomnienia, książki na jej temat. W efekcie „zaprzyjaźniłam” się z nią. Znam ją zarówno jako człowieka pełnego radości, jak i wątpliwości, wielkich wzlotów i upadków, znam ją z życia codziennego, dowcipną, uśmiechniętą, pielęgnującą ogródek, czy narzekającą na los gwiazdy, która musi smażyć kotlety i cerować skarpetki swoim panom. Widzę ją spacerującą wśród cyprysów w kalifornijskim Ardenie, pielęgnującą ukochane róże oraz na scenie, jako wielką aktorkę wzbudzającą niezapomniany dreszcz, oklaskiwaną zarówno przez tłumy w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, jak i garstkę widzów w małych prowincjonalnych amerykańskich teatrzykach. Doceniam, że nigdy nie zapomniała o Polsce i swoją postawą kształtowała opinię publiczną. Np. podczas każdej tury artystycznej grała jedną scenę Ofelii z „Hamleta” po polsku, aby „nie zapomniano z jakiego kraju pochodzi”.

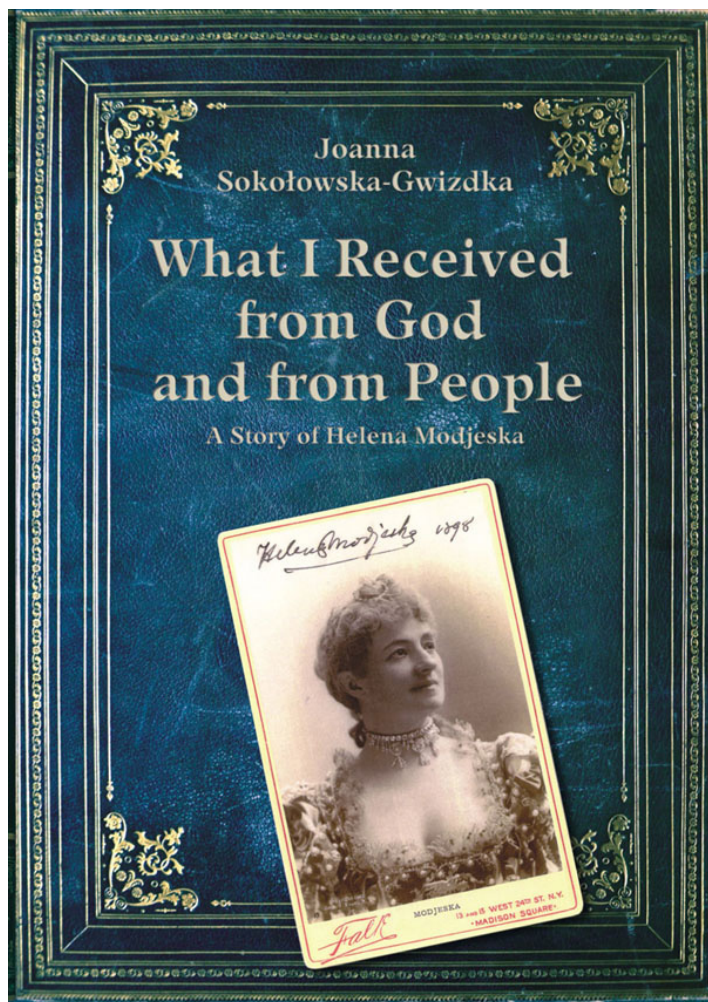
Cenię ją więc za to jaką była artystką, Polką i jakim była człowiekiem. Myślę, że uniwersalnymi cechami, za które można podziwiać aktorkę jest jej determinacja w pokonywaniu przeszkód, odwaga i niezwykła pracowitość.

Modrzejewska pochodziła z rodziny, która nie ułatwiła jej startu w życiu, do wszystkiego doszła sama własną pracą i talentem. Początki jej kariery aktorskiej to podróże po drogach Galicji i występy w prowincjonalnych teatrzykach. Jednak pokonała wiele niepowodzeń i stała się gwiazdą Teatrów Rządowych w Warszawie. Będąc na szczycie sławy potrafiła podjąć nowe wyzwanie – zaczęła budować karierę za Oceanem od początku i to bez znajomości języka angielskiego. Uczyła się dzień i noc, aby móc wyjść na scenę i zagrać w języku Szekspira. Dzięki wytrwałości zdobyła ogromną popularność na amerykańskim kontynencie. Może o tym świadczyć fakt, że producenci damskich strojów, butów czy przyborów toaletowych ubiegali się o firmowanie nazwiskiem Modrzejewskiej swoich wyrobów. Artystka zaczęła dyktować modę, maniery, zachowanie, gesty. Konkurencyjne domy mody „wydzierały sobie” Modjeską. Tam gdzie występowała fetowały ją miejscowe kluby, a wieczorem na scenie pojawiały się wielkie kosze kwiatów z „gwiazdą północy” na szczycie, utkaną z białych i czerwonych róż.

Mimo tych sukcesów Modrzejewska nie spoczęła na laurach, nie „odrywała kuponów” nawet wtedy, gdy recenzenci rozpisywali

się w samych superlatywach na jej temat. Pamiętała, że „fortuna kołem się toczy”, miała w sobie wiele pokory, do końca życia pracowała nad rolami, rozwijała je, wzbogacała swoimi doświadczeniami życiowymi. Tak więc pracowitość i pokora nawet po stu latach się nie zdezaktualizowały.





Pani książka ma tytuł: „Co otrzymałam od Boga i ludzi. Opowieść o Helenie Modrzejewskiej” (BoRey Publishing, Somerset, New Jersey 2009). Skąd ten cytat?

- Modrzejewska dużą wagę przywiązywała do pisania wspomnień. Już w młodości prowadziła dziennik, a z biegiem lat słowo zapisane, jako ponadczasowe, miało dla niej coraz większe znaczenie. Zresztą została obdarowana również talentem literackim i bogatą wyobraźnią. Po zejściu ze sceny i opuszczeniu swojego ukochanego Ardena, czując nieubłagany upływ czasu podsumowywała swoje życie:

Gdy siedzę na ganku naszej willi i patrzę na purpurowe wzgórza Santa Ana, na wierzchołki Sierra Madre albo w błękitne wody zatoki, mam uczucie spokoju i zadowolenia. Miłość do moich najbliższych wypełnia mi serce po brzegi i chociaż w myślach goszczą często obrazy ze świetnej przeszłości na scenie, to jednak nie żal, nie gorycz mąci moją świadomość, ale wypełnia ją wdzięczność za wszystko, co otrzymałam od Boga i ludzi.

Tak się kończą wspomnienia Heleny Modrzejewskiej. Ja wykorzystałam ostatnie zdanie jako klucz do otwarcia przeszłości. Spróbowałam stworzyć portret artystki i człowieka, poprzez mój pryzmat widzenia tej postaci.

Książka jest dwujęzyczna, nieduża, pięknie wydana ze wstępem prof. Kazimierza Brauna. Do jakiego czytelnika książka jest skierowana?

- W moim zamyśle książka miała rozpowszechnić wiedzę na temat Heleny Modrzejewskiej w Ameryce, gdzie aktorka spędziła ponad 30 lat i uświadomić, jak wiele zrobiła dla historii kultury tego kontynentu. Przecież przed nią prawie nie znano tu Szekspira. A ona jeździła w najdalsze zakątki Ameryki, wożąc ze sobą kostiumy, dekoracje, z czasem podróżowała z własnym zespołem aktorów. Na spektakle, w dużej części szekspirowskie,

przychodzono głównie dlatego, aby zobaczyć słynną „zamorską gwiazdę”, o której krążyły legendy.

Tak więc książka skierowana jest przede wszystkim do czytelników z USA i Kanady. Jest odwracana i ma dwie okładki. Na okładce po stronie polskiej znajduje się fotografia Modrzejewskiej zrobiona w Krakowie, po angielskiej zaś – w Nowym Jorku.

Mimo, że z zebranego przeze mnie materiału mogła wyjść książka bardzo obszerna i zbliżyć się do monografii, jednak zdecydowałam, że w dobie smsów i innych krótkich i treściwych form porozumiewania się, lepiej napisać książkę zawierającą pewną ilość informacji, ale nie za długą, którą można przeczytać w podróży, lub siedząc wygodnie w fotelu przy kominku w zimowy wieczór. W obecnym wyścigu z czasem, taka podręczna książka ma większą szansę dotarcia do dużej ilości osób. Wydaje mi się, że świetnie nadaje się na prezent zarówno dla polskiego czytelnika, jak i dla tych, którzy z Polską nie mają nic wspólnego.



Joanna Sokołowska-Gwizdka podczas wieczoru nt. Heleny Modrzejewskiej w Austin, Teksas, listopad 2017 r., fot. Jacek Gwizdka.

Czy teraz, po latach jej syn, Ralph Modjeski wielki budowniczy mostów, jest równie sławny jak jego matka?

- Na pewno tak. Świadczy o tym m.in. fakt, że firma założona przez Ralpha Modjeskiego (Rudolfa Modrzejewskiego, zwanego w domu „Dolciem”), istnieje do dziś, szczycąc się ponad stuletnią historią. Główna siedziba firmy „Modjeski and Masters” mieści się w Harrisburgu w Pensylwanii. Myślę, że Rudolf Modrzejewski

nie przewidywał, że tworzy firmę, która będzie działać jeszcze długo po jego śmierci (zmarł w 1940 roku w Los Angeles).

Ralph Modjeski skończył prestiżową państwową szkołę dróg i mostów w Paryżu (*Ecole Nationale des Ponts et Chauseés*), a potem terminował jako inżynier u słynnego konstruktora George'a S. Morisona, zwanego ojcem amerykańskich mostów. W 1911 roku uzyskał doktorat z inżynierii w *Illinois State University*.

Zasłynął jako pionier w budownictwie tzw. mostów wiszących. Zbudował ponad 40 mostów na największych rzekach w Północnej Ameryce, m.in. Thebes Bridge na Mississippii, Benjamin Franklin Bridge w Filadelfii, Ambassador Bridge w Detroit, Trans-Bay Bridge w San Francisco itd. Jego uczniem był Joseph B. Strauss – twórca słynnego mostu Golden Gate w San Francisco. Ile razy przejeżdżam przez któryś z wielkich amerykańskich mostów ze spektakularnym widokiem na potęgę rzeki, nie mogę się nadziwić, jak człowiek i to ponad sto lat temu, mógł wymyślić tak niesamowitą i trwałą konstrukcję.

Co dzieje się z dworkiem aktorki w Arden?

– Helena Modrzejewska nazwała Ardenem swoje kalifornijskie rancho – od Lasu Ardeńskiego ze sztuki Szekspira „Jak wam się podoba”. Miało to być miejsce wolności, artystów i sztuki,

zgodnie z teatralnym pierwowzorem. Modrzejewska wraz ze swoim mężem Karolem Chłapowskim mieszkała tam głównie w okresie wakacyjnym i świątecznym w ciągu 18 lat. Wiele przyczyn złożyło się na to, że w 1906 roku Chłapowscy sprzedali Arden. Obecnie jest tu muzeum Heleny Modrzejewskiej (*Arden Modjeska Historic Home & Garden*), a zbiorami opiekuje się Fundacja Heleny Modrzejewskiej, która rekonstruuje wygląd domu, gromadzi wyposażenie i pamiątki, związane zarówno z artystką, jak i epoką. Zamówiono np. taką samą makatkę przedstawiającą Matkę Boską, jaka wisiała w sypialni Heleny, w tej samej firmie w Zakopanem, w której zamawiała Modrzejewska. Prawnuczka Modrzejewskiej, która jest rzeźbiarką i mieszka na Alasce zrekonstruowała ozdobny stół, który stał w salonie. Tak więc dom po latach użytkowania przez innych właścicieli nabiera powoli charakteru sprzed lat.



Pani Joanno, w 2016 roku wydała Pani książkę poświęconą teatrowi emigracyjnemu w Toronto. Jest to duża praca monograficzna. Na czym polega fenomen teatru polskiego w Toronto?

- Salon Poezji, Muzyki i Teatru im. Jerzego Pilitowskiego został założony w 1991 roku przez aktorkę Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie – Marię Nowotarską. Od tej pory w Salonie było ponad 100 premier – od kameralnych spotkań literackich z towarzyszeniem instrumentu, po duże, wieloobsadowe, często fabularyzowane spektakle słowno-muzyczne. Maria Nowotarska wykorzystuje ogromny potencjał, który tkwi w utalentowanych artystach torontońskich, pracujących bardzo często w swoich

zawodach na kanadyjskiej scenie, a także w uzdolnionej młodzieży, uczącej się w teatrze piękna polskiego słowa. Aktorka i reżyser jednocześnie, ma w sobie niezwykle magnetyzm, który do teatru przyciąga talenty. Aktorzy, śpiewacy, plastycy pracują z poświęceniem wiele godzin, za symboliczną gratyfikację finansową, bo cenią radość tworzenia i bycia potrzebnym publiczności. Na szczególną uwagę zasługują sztuki specjalnie pisane dla tego teatru przez dramaturga i reżysera z Uniwersytetu w Buffalo – prof. Kazimierza Brauna. Stanowią już w tej chwili cykl portretów słynnych Polek-emigrantek – Heleny Modrzejewskiej, Marii Skłodowskiej-Curie, Poli Negri czy Hanki Ordonówny, wzbudzających emocje i szerzących wiedzę o bohaterkach. Aktorki – Maria Nowotarska i jej córka Agata Pilitowska bardzo dużo podróżują z tymi sztukami – od najdalszych zakątków Kanady przez Stany Zjednoczone, Amerykę Południową po Europę.

Odpowiadając na Pani pytanie właśnie na tym według mnie polega fenomen tego teatru, że bez lokalu, zaplecza, sztabu ludzi zajmujących się kostiumami czy sprawami technicznymi, w emigracyjnych warunkach ze szczupłymi zasobami finansowymi, teatr powstał, jest, tyle lat działa i cały czas się rozwija.

Książka „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” (*Novae Res, Gdynia 2016*), która oprócz odtworzenia działalności teatru z ponad 20 lat, objęła 270 godzin wywiadów z

ludźmi kultury i sztuki z wielu pokoleń emigracji, wyszła na XX Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie. Następnego dnia miała miejsce promocja w Teatrze im. Juliusza Słowackiego. Było to dla mnie wielkim przeżyciem, bo teatr ten był przecież od początku jego powstania sercem tego „co w polskiej duszy gra”, a kamień węgielny położyła pod nim sama Helena Modrzejewska. Od tej pory książka zaczęła żyć własnym życiem podczas licznych wyjazdów i wieczorów autorskich. Zostałam zaproszona między innymi przez Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Krakowie, Polskie Towarzystwo Ziemiańskie w Warszawie czy też Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie. Po powrocie do USA byłam w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku, a w Teksasie miałam już wieczory w Houston i w Austin, gdzie mieszkam. Cieszy mnie, że moja opowieść o polskim teatrze w Toronto prowokuje do dyskusji na temat polskiej kultury poza krajem, jej roli w wychowaniu młodego pokolenia wyrastającego poza polskojęzycznym środowiskiem kulturowym i jej przyszłości.

Przed wyjazdem do Kanady pracowała Pani na Uniwersytecie Łódzkim w Katedrze Literatury Staropolskiej oraz współpracowała Pani z polskimi mediami, prasą i telewizją. Po wyjeździe podtrzymywała Pani kontakty pisząc w Polsce do pism: „Tygiel kultury”, „Jazz forum”, „Ruch Muzyczny”. Poza Polską do pism - „Nowy Dziennik” (Nowy Jork), „Gazeta” (Toronto), „Pamiętnik literacki” (Londyn). Jakie tematy Panią

szczególnie interesują?

- Zawsze mnie interesują tematy związane z polską kulturą i historią. W pierwszej połowie lat 90. byłam przedstawicielem Festiwalu Chopinowskiego w Nohant we Francji. Zebrałam dużo materiału o Chopinie i George Sand, a potem ta romantyczna para stała się bohaterem wielu moich artykułów.

Cenię twórczość Marii Kuncewiczowej. Jeszcze jako studentka byłam przez nią przyjęta w jej domu w Kazimierzu nad Wisłą, krótko przed jej śmiercią. Oproceedziła mnie po swojej pięknej drewnianej willi ze skrzypiącymi podłogami, opowiadając niezwykle historie bliskich jej ludzi i różnych przedmiotów z nimi związanych. Mówiła o planach dotyczących domu i o tym, że regularnie pisze listy do swojego zmarłego męża Jerzego. Potem kontaktował się ze mną jej syn Witold Kuncewicz, dziękując za mój tekst-wspomnienie. „Zaczarowany Dom pod Wiewiórką” pojawia się od czasu do czasu na nowo, przypominając wielką pisarkę.

Materiał historyczny - zagłada pacjentów największego przedwojennego szpitala psychiatrycznego w Kocborowie (obecnie Starogard Gdański) w październiku 1939 roku oraz postawa lekarzy wobec terroru wojny - to kolejny obszar moich zainteresowań. Zamordowanym wówczas przez Niemców ordynatorem i zastępcą dyrektora w tym szpitalu, był brat mojej

babci Józef Kopicz. Między innymi dlatego temat ten jest dla mnie bardzo ważny. Mój artykuł „Oddział podróży do nieba” przywoływany jest w różnych kontekstach, m.in. podczas konferencji psychiatrycznych.

Interesuje mnie też historia obyczajów staropolskich. Myślę, że zainspirował mnie wielki polski historyk, specjalizujący się w czasach Jagiellonów, autor słynnej książki „Barbara Radziwiłłówna”, prof. Zbigniew Kuchowicz, z którym miałam na studiach wykłady właśnie z historii obyczaju.

Zbieram też pamiątki po Janie Ignacym Paderewskim, mam nadzieję, że je wykorzystam przy kolejnej dwujęzycznej książce.

Bardzo lubię formę wywiadu. Każdy z moich rozmówców coś ciekawego wnosi do mojego życia, coś mi zostawia, myśl, przesłanie, sposób na życie, wizję świata. Rozmowy z twórcami polskiej kultury bądź z osobami, które odkrywały inne kultury czy nieznane mi obszary wiedzy, traktuję jako bardzo cenne dary.



Joanna Sokołowska-Gwizdka po spotkaniu autorskich w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi, kwiecień 2017 r., fot. Andrzej Sokołowski.

W latach 2001-2005 mieszkała Pani wraz z mężem Jackiem w Toronto, największym skupisku Polonii Kanadyjskiej, znanym z wielu organizacji, fundacji, stowarzyszeń, prasy, wydawnictw. Po ukończeniu doktoratu przez Pani męża na Uniwersytecie w Toronto, przenieśli się Państwo do New Brunswick w stanie New Jersey, gdzie Dr Jacek Gwizdka pracował na Uniwersytecie Rutgers. Od 2013 roku mieszkają Państwo w Austin w Teksasie, gdzie Pani mąż został profesorem na *University of Texas at Austin*.

W Toronto prowadziła Pani - i kontynuowała po

przeniesieniu się do Stanów Zjednoczonych - miesięczny dodatek literacki do „Gazety”. Dodatek nosił tytuł „List oceaniczny”. Czym wyróżniał się „List oceaniczny”?

- „List oceaniczny” redagowałam od stycznia 2003 do czerwca 2008 roku. W czasie mojej redakcji charakter pisma się zmieniał. Na początku planowałam, że będzie to forum do dyskusji na tematy literackie, filozoficzne i historyczne, że będę zapraszać do współpracy wybitnych pisarzy, eseistów, felietonistów i artystów polskiego pochodzenia z całego świata. Z czasem doszłam do wniosku, że to za szeroki obszar, ograniczyłam go więc do Kanady i Stanów Zjednoczonych. Robiłam oczywiście wyjątki dla ciekawych tekstów literackich czy historycznych, które prowokowały do przemyśleń. W prawie każdym numerze umieszczałam wywiad - portret, przedstawiający dokonania wybitnego artysty, pisarza czy naukowca głównie z Kanady. Zebrał się już materiał na książkę portretującą trzy pokolenia Polaków w kraju klonowego liścia.

W 2016 roku założyła Pani literacki magazyn internetowy poświęcony polskiej kulturze poza krajem - „Culture Avenue”, który stał się żywą kroniką dawnych i obecnych działań polskich twórców mieszkających poza krajem. W 2018 roku otrzymała Pani nagrodę im. Macieja Płazińskiego dla dziennikarzy i mediów służących Polonii przyznawaną przez Press Club Polska w kategorii medium

polonijne za redakcję pisma i promowanie polskich twórców rozsianych po świecie, często nieznanych w Polsce.

- Tak, magazyn literacki „Culture Avenue” jest niejako kontynuacją „Listu oceanicznego”. Został on zarejestrowany przez Bibliotekę Narodową w dziale wydawnictw ciągłych i otrzymał numer ISSN. Swoją rubrykę ma tu profesor Florian Śmieja z Kanady, nestor poetów emigracyjnych, współzałożyciel słynnej powojennej grupy poetyckiej „Kontynenty”, który w 2015 roku otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu we Wrocławiu oraz Krzyż Komandorski Orderu Izabeli Katolickiej, przyznany przez króla Hiszpanii Filipa VI za propagowanie języka i literatury hiszpańskiej na świecie. Profesor Florian Śmieja nie tylko publikuje swoje teksty na łamach „Culture Avenue”, ale też bardzo mi pomaga poprzez swoje doświadczenie, wiedzę, życzliwość i kontakty.

W „Culture Avenue” staram się pokazywać ciekawych twórców polskiego pochodzenia, którzy tworzą poza Ojczyzną w różnych dziedzinach. I to zarówno tych bardzo znanych, nagradzanych, jak i mniej znanych, ale robiących interesujące rzeczy. W środy przedstawiane są wirtualne wystawy artystów plastyków, w piątki ukazują się wywiady. Dla „Culture Avenue” piszą autorzy z Kanady i z USA oraz z Litwy, Norwegii, Polski i innych krajów Europy, a także z Australii i Republiki Południowej Afryki.

Niedawno otrzymałam niebywały prezent – prawie 1000 stron opisu niezwykłego życia, zmarłego w 2017 r. kanadyjskiego reżysera, Tadeusza Jaworskiego. Jego filmowa wędrówka przez życie ukazuje się w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca.

Dla mnie redagowanie „Culture Avenue” jest swego rodzaju misją, aby polska kultura powstająca spontanicznie, z potrzeby, poza zinstytucjonalizowanym obszarem kraju została utrwalona, żeby pozostał ślad po niezwykłych ludziach z różnych emigracyjnych pokoleń, którzy o tę kulturę walczyli i walczą.

Federacja: Kongres Polonii w Austrii,
Klub Inteligencji Polskiej oraz Redakcja pisma JUPITER

zapraszają na Koncert-Gale



ZŁOTE SOWY POLONII GOLDENE EULEN

24 marca 2018, godz. 17.00

Sala im. Jana III Sobieskiego, Wiedeńska Stacja PAN
1030 Wien, Boerhaavegasse 25

Prowadzą: Jadwiga Hafner i Armin Innerhofer
W części artystycznej gościnnie wystąpią:
Halina Graser i Agnieszka Malek z zespołem

WIEN KULTUR

ANGORA

WPPostea
London Vienna

SRKP



SENAT RP



Federacja Kongres Polonii w Austrii
Klub Inteligencji Polskiej w Austrii



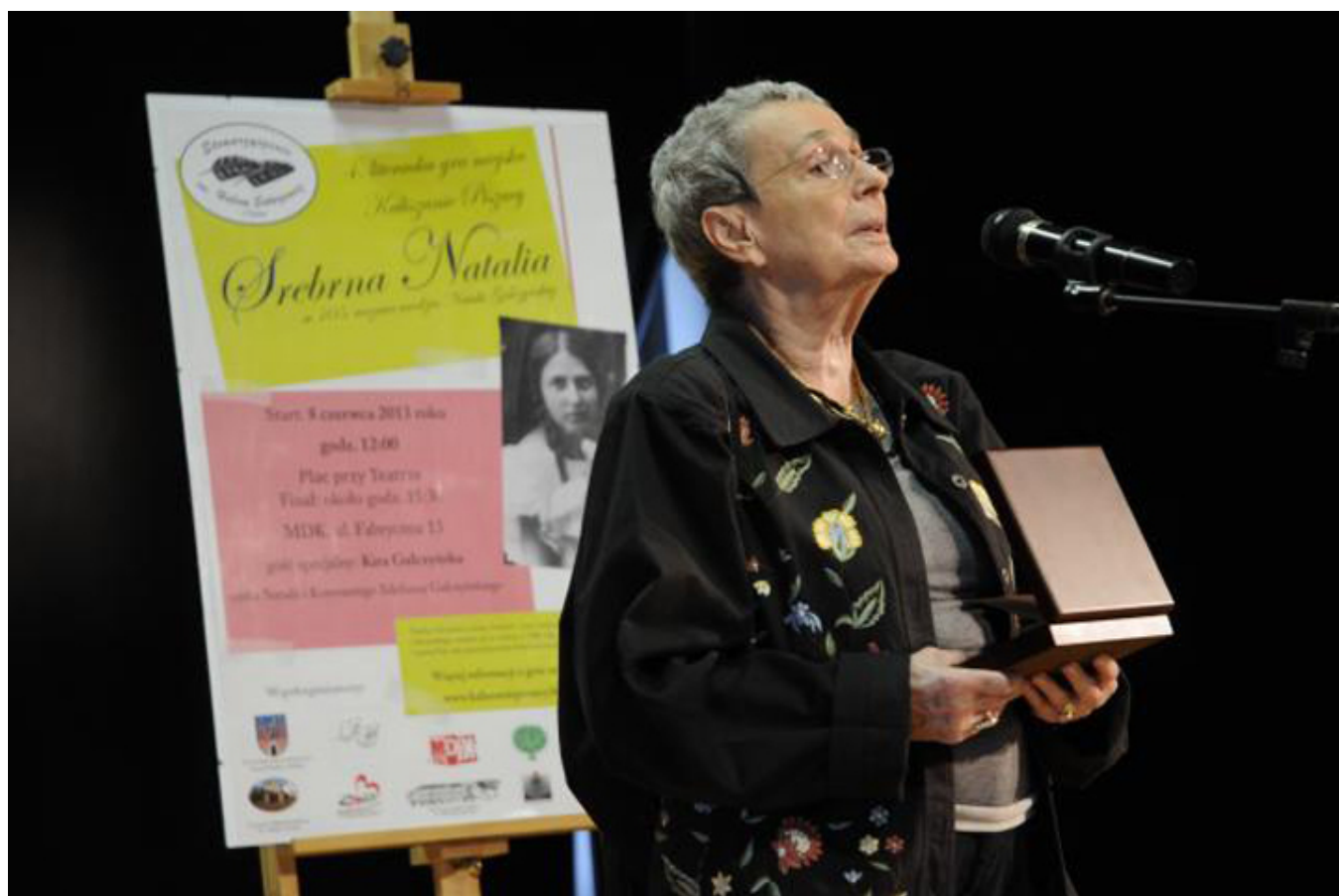
Wstęp, ze względu na ograniczoną ilość miejsc,
tylko po uprzedniej rezerwacji:

Tel.: 01/ 71 86 886

e-mail: kpi@chello.at

Srebrna Natalia

Rozmowy o książkach, które nie przemijają.



Kira Gałczyńska podczas spotkania z czytelnikami, fot. Rafał Saganowski.

Z Kirą Gałczyńską, córką Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, na temat książki o jej matce, rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.

O, zielony Konstanty, o srebrna Natalio!

Cała wasza wieczerza dzbanuszek z konwalia;

Wokół dzbanuszką skrzacik chodzi z halabardą,

Broda siwa, lecz dobrze splamiona musztardą,

Widać podjadł, a wyście przejedli i fanty –

O, Natalio zielona, o, srebrny Konstanty!

Konstanty Ildefons Gałczyński

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Mamy „Zielonego Konstantego”, mamy też „Srebrną Natalię”. Jest to przepiękna książka, prawdziwa i ludzka. Jak długo nosiła Pani w sobie zamiar napisania książki o swojej matce?

Kira Gałczyńska: O tej książce myślałam od dawna, wielokrotnie się do niej zabierałam. Ona miała już ze 30 początków. Ale to wszystko było nie tak, jak sobie wyobrażałam książkę o Natalii. Po prostu nie umiałam jej napisać. I wtedy

zdecydowałam: trzeba lecieć do Gruzji, poszukać śladów moich dziadów, dotrzeć do jakichś archiwów, zobaczyć miejsca, skąd pochodzili. I tak się stało. Trzy tygodnie pobytu w Gruzji pozwoliło mi tę ważną dla mnie książkę napisać w cztery miesiące. Po roku od tej niezapomnianej podróży opowieść o Natalii trafiła do księgarń.

JSG: Fascynująca jest Pani opowieść pierwszej podróży do Gruzji w październiku 2005 roku, która była również podróżą w głąb siebie, w głąb przeszłości swojej rodziny. Dotarła Pani dalej, niż udało się to Pani matce, poznała Pani losy swojego dziadka, księcia Konstantego Nikołajewicza Awaliszwili – korneta gruzińskiego pułku.

KG: Gruzja otworzyła mnie na wiele spraw, dzięki niej zrozumiałam wiele cech charakteru mojej matki – jej pogodę, hart ducha, dzielność, umiłowanie poezji, wierność dla najbliższych, lojalność... Te wszystkie niezwykle cechy charakteru wykształcił w niej (poza innymi gruzińskimi przodkami, o czym mówią przekazane geny) jej ojciec, Konstanty Awaliszwili – mój dziad. I choć – Konstanty i Natalia, ojciec i córka – przeżyli wspólnie jedynie sześć lat, jego wpływ na całą psychikę Natalii i jej późniejsze życie był ogromny. Z tego wszystkiego nie zdałabym sobie sprawy, gdyby nie wyjazd do Gruzji, gdyby nie poznanie niezwykle, wspaniałych ludzi.



Natalia Gałczyńska, fot. z książki „Srebrna Natalia”.



Natalia Gałczyńska, fot. z książki „Srebrna Natalia”.

JSG: Czy podróż w przeszłość miała wpływ też na Panią, na Pani poczucie tożsamości, przynależności do trzech kultur polskiej, rosyjskiej i gruzińskiej?

KG: Moje poczucie tożsamości kształtował zawsze mój dom. Dom, muszę dodać, pod każdym względem niezwykły. Od najwcześniejszych lat zdawałam sobie sprawę z tego, że w moich żyłach płynie krew trzech narodowości, to otwierało przede mną niebywale wprost perspektywy – bycia w naturalny zupełnie

sposób obywatelem świata, obywatelem Europy. Bez uprzedzeń narodowościowych czy rasowych, za to z otwartością na każdego wartościowego człowieka. Bo tolerancja w moim domu była codziennością. To jedna z najważniejszych lekcji wyniesionych z domu na całe życie.

JSG: Tak pięknie opisuje Pani przeszłość swojej mamy, więzi rodzinne, owiane legendą historie o księżniczce z dalekiego zamku, o dawnych czasach pięknej Gruzji. Wzruszająca jest spisana przez Panią „opowieść Natalii”, o poznaniu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, o pięknym, barwnym i szalonym, ale i jednocześnie trudnym życiu z niezwykłym poetą. Ale po śmierci Pani ojca, mimo, że pisze Pani dalej o matce, przytacza Pani jej listy z podróży statkiem, to jednak nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że ta historia, w stosunku do poprzednich, przebiegała skrótowo, tak jakby życie Natalii Gałczyńskiej po śmierci męża przebiegło w przyspieszonym tempie. Czy zgadza się Pani z moimi odczuciami?

KG: Czy życie Natalii po śmierci poety przedstawiłam istotnie skrótowo? Jeśli tak to Pani odebrała, to jest w tym jakaś moja „niedoróbka”. Nie chciałam tego. Starłam się przedstawić prostą prawdę, że owe 23 lata życia przeżytych samotnie, nie były ani tak barwne, ani tak niezwykle i wypełnione bogactwem doznań, jak 23 lata przeżyte z K.I.G. Najpierw po śmierci Kota nie umiała się podnieść z tragedii, która na nią spadła. Tamta

trauma towarzyszyła jej – na dobrą sprawę – do śmierci. Nigdy już nie umiała się ani tak śmiać, ani cieszyć, ani zachwycać codziennością, jak to bywało wcześniej. Choć przecież czas i w tym wypadku zrobił swoje – złagodził ból, ale nie osłabił poczucia samotności. A później, dzięki silnemu charakterowi, hartowi, jakiejś niebywalej determinacji, starała się żyć z pożytkiem dla innych, dla dzieła K.I.G., dla rodziny wreszcie. Jakiś cień wewnętrznej pogody odnalazła dzięki dalekomorskim podróżom – one w jakiś sposób godziły ją ze światem; poznawała go z nową ciekawością, z młodzieńczym niemal oczarowaniem; zawierała nowe znajomości, przyjaźnie. I te nieoczekiwane spotkania zawsze ją cieszyły, stanowiły namiastkę świata, który utraciła.



Natalia i Konstanty Gałczyńscy, fot. Wikimedia

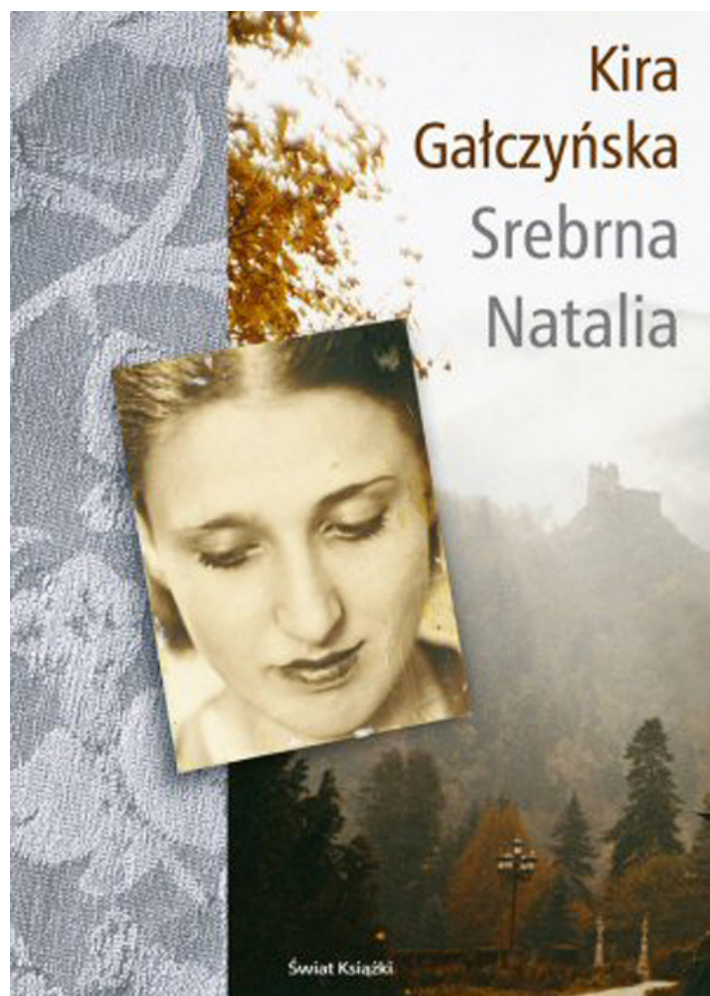
JSG: Jak to jest być dzieckiem sławnych rodziców? Czy to duża odpowiedzialność, misja do spełnienia?

KG: Moje dorosłe życie wypełnia cudowna pamięć o domu, o niezwykłych pod każdym względem rodzicach, ich przyjaciółach. Wyrosłam w takim domu, w szczęściu, pogodzie, trosce i miłości. Nie bywa to dziś dane każdemu. To mój największy skarb, z jakim weszłam w samodzielne życie. I to jednocześnie mój wielki dług, który staram się wobec moich najbliższych spłacać każdego zaczętego dnia. Stąd moje książki, moje próby opowieści o poecie, jego świecie, jego wierszach, w których zawsze najważniejszą była Natalia. To co robię, nie jest żadną misją. Jest

moja codziennością. I jest mi z nią dobrze.

JSG: W opowieści o mamie, dyskretnie pojawia się i Pani. Z dużym uczuciem i podziwem, przy jednoczesnym zachowaniu faktów i wnikliwym ich omówieniu, pisze Pani o Natalii Gałczyńskiej. Czy będzie też książka o Pani, o Pani niezwykłym życiu, leśniczówce Pranie, wielu ciekawych osobach, które Pani napotkała w życiu?

KG: A więc pyta Pani, czy napiszę wspomnienia? Może. Choć mam świadomość, że do nich także trzeba dojrzeć, a ja mam coraz mniej czasu. Ale może, kto wie? Kiedy już za bardzo dokuczy mi rzeczywistość, jedynym ratunkiem stanie się jeszcze jedna podróż w przeszłość. Do nieistniejącego świata pogody, przyjaźni, wierności i okazywanej każdego dnia miłości. Do świata zatrzymanego w wierszach K.I.G.



Wydawnictwo Świat Książki, 2006.



Wydawnictwo Marginesy, 2014.

Ta książka jest dalszym ciągiem naszych wielu rozmów, naszych wspólnych podróży, zaczętych lektur i niedosłuchanych koncertów. (...) Jest także moją próbą opowiedzenia o niej, o jej dniu codziennym, wesołym i smutnym, o (przyjaciołach). O nastrojach, kaprysach i fascynacjach. O uśmiechach i łzach. O wielkiej sztuce przebaczenia, miłości i wiary: jest jeszcze jedną próbą dotarcia do jej sekretów, a może i tajemnic.

Kira Gałczyńska

**Kira Gałczyńska, Srebrna Natalia, Świat Książki 2006 oraz
wznowienie wyd. Marginesy 2014.**

Filozof bytu

**Z Wilkiem Markiewiczem - malarzem i pisarzem,
założycielem i twórcą „Kuriera Polsko-Kanadyjskiego” w
Toronto - rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.**



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

I nigdy nie doznając

Istotnego znaczenia

Zaczynasz je istnieniem

Kończysz rachunkiem sumienia

(W. Markiewicz, Okruchy bytu, z rozdziału „Życie”)

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Od lat pisze Pan aforyzmy, które ukazują się w redagowanym przez Pana portalu internetowym „Vagabond Pages”. Te układające się w ciągi znaczeń myśli, stwarzają obraz rzeczywistości widzianej Pana oczami. Dlaczego według Pana zagadnienia bytu, miejsca człowieka na ziemi, relacji Ja - świat zewnętrzny są z reguły pesymistyczne? Walka o przetrwanie kończy się klęską, a promienie życia są jedynie przerwami w podróży przez piekło?

Wilek Markiewicz: Mój pesymizm wynika z tego, że całe moje życie było borykaniem się. Tak mnie cholera na cały świat brała, że się wyżyłem, pisząc to, co napisałem. To było oczyszczenie myśli i ducha. Mam nadzieję, że moje myśli się komuś na coś przydadzą, że to nie było tylko puste pisanie.

Ktoś mi kiedyś pokazał pewnego domorosłego poetę. Był chyba Bułgarem, nie znałem go osobiście. Mieszkał gdzieś w suterenie, młody człowiek, ale kaleka. Był on ponoć zgorzkniały i złośliwy. Pisał wiersze, które mi się bardzo podobały. Kiedyś napisał: *jak to jest, że moje serce jeszcze śpiewa?*. Ja sobie wtedy pomyślałem - to jest młodość. Gdy się ma 20 lat to serce śpiewa, nawet w więzieniu. Więc kiedy serce przestaje śpiewać? Gdy zaczyna czuć dzień podsumowania, gdy zaczyna być wiecznie niezadowolone, bo to się nie udało, bo tamto się nie udało. Ja mocno przeżywam niepowodzenia, zresztą wszystko mocno

przeżywam. Czasami straszę siebie, co by było gdybym był kimś innym. Może bym został zakonnikiem, popełnił samobójstwo albo bym na wszystko splunął, nie wiem. Ale to nie jest moją naturą. Moją naturą jest działać, moja natura jest wrażliwa na piękno, czy to będzie literatura, sztuka czy muzyka wszystko jedno, ja tym żyję, ja się tym napawam. Tak więc jestem pesymistą, ale jednocześnie jest we mnie pragnienie życia i działania.

JSG: Oprócz publikacji Pana nowel i artykułów w prasie polskiej, hiszpańskiej i francuskiej, prowadzi Pan angielskojęzyczny portal internetowy „Vagabond Pages”, gdzie można zapoznać się zarówno z Pana twórczością literacką, malarską, jak też pracą dziennikarską.

WM: Stronę odwiedza ponad 150 osób dziennie z całego świata. Moje aforyzmy tam umieszczone ukazują się z podaniem źródła na różnojęzycznych stronach internetowych. Fragment mojego artykułu „Dezinformacja jako zbrodnia wojenna” został włączony do książki Gregory James’a „Many a Slip?”, (Language Centre, Hong Kong University of Science and Technology 2001). To są takie przyjemne drobnostki. Ale ja zawsze szukałem ciągłości. Dlatego fascynowało mnie wydawanie gazety i stałe komunikowanie się z czytelnikami. Ja nie chcę być takim samotnym strzelcem, choć jak dotąd nim jestem. Taki los.

JSG: W zbiorze „Okruchy bytu” bardzo podobają mi się

aforyzmy z rozdziału „Twórczość”. Oddają one sens tworzenia, są głębokie i proste jednocześnie. Oprócz pisania ciągle Pan dużo maluje. Czyli Pan się czuje bardziej pisarzem czy bardziej malarzem?

WM: Mimo, że malowałem niemal od zawsze, oba nurty idą we mnie równolegle. Napisałem kiedyś o sobie: *Kiedy piszę, jestem malarzem, kiedy maluję, jestem muzykiem*. I ja to tak czuję, choć czasem trudno mi to przekazać.

JSG: Czyli nie ważna jest forma, ale istotny jest przekaz wewnętrzny, impuls.

WM: Ważne jest znalezienie tego „czegoś”, co skoncentruje moją uwagę. Ważne jest, żeby forma, kształt czy postać na obrazie mnie się podobała. Czasami poszukuję właściwego odbicia, tego, co jest we mnie. Ale najważniejsze, żeby mnie coś poruszyło, jak prądem. Przychodzi czasami coś, czego nie oczekuję, a to nagle zagra. Wtedy, kiedy maluję, to jakbym pieścił, jakby elektryczny prąd przechodził przeze mnie. „Ona” powstaje na nowo pod moją ręką, jakbym był Bogiem. Oby się to nigdy nie skończyło. To takie fizyczne doświadczenie.

Tak samo jest, gdy myślę, gdy piszę. Czuję wtedy, jakby coś we mnie się stwarzało, coś rosło materialnego, choć tam nie ma materii, tam są tylko słowa. Ale one tak się rozrastają, że tworzą

coraz większą strukturę, jak katedra. Tylko na taki stan nigdy nie można liczyć, że będzie na pewno.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Czy dla Pana twórczość jest ciągłym poszukiwaniem i odkrywaniem tych nie zbudowanych katedr?

WM: Twórczość dla mnie jest działaniem, działaniem i jeszcze raz działaniem. Te tworzące się struktury, są jakby poza mną i moją wolą. Ale teraz zaczynam być w kryzysie, zaczyna mi brakować motywacji. Motywacja też nie była nigdy zależna ode mnie. To było coś, co musiało na mnie spłynąć. Tylko to jest niebezpieczne, bo spłynie, albo nie. Nigdy nie wiadomo.

JSG: A co Pan teraz maluje?

WM: Teraz powstają nowe rysunki, które lubię. W malowaniu trochę przystanąłem. Toronto przestało mnie inspirować. „Wykorzystałem” już wszystko, co mogłem. Namalowałem nawet wyimaginowane ulice z prawdziwymi domami. Więc nie chcę się powtarzać. I czuję, że jestem zmęczony. Trzeba zrobić przerwę i zacząć wszystko od początku. Zaczyna być mi ciężko, bo wydaje mi się, że poznałem już kawał świata i nic już mnie nie zaskoczy. Ktoś kiedyś powiedział – po co komu wyścigi, skoro i tak wiem, że jeden wygra, a drugi przegra. Tak więc pójdę jeszcze na jedną ulicę, zobaczę jeszcze jedną budowlę. I co z tego? Zauważyłem nawet, że mogę pracować bez natchnienia. Ale po co? Na tyle godzin siedzenia, mieć potem zaledwie 5 minut przyjemności. Wiem, że jestem zmęczony, że potrzebuję wakacji, ale też boję się tych wakacji, bo jak długo można siedzieć pod palmą wśród wydym?

JSG: A czy wystawy, nagrody, uznanie ludzi nie dają energii do dalszego tworzenia?

WM: Przychodzą nagrody. No i bardzo dobrze, ale co dalej? Będzie druga nagroda, trzecia i co z tego? Będzie wernisaż, dwa razy na rok, przyjdą ludzie, będą jeść, pić, potem wyjdą. Nie czuję się dobrze w tym wirze wielkoświatowym, systemie zdobywania i nagradzania. Nie wszedłem w ten nurt, za długo

byłem samotnikiem. Ale z drugiej strony nie jestem pustelnikiem. To taka sprzeczność. Jak powiedziała jedna moja przyjaciółka – *Ty jesteś mistykiem i materialistą i oba wcielenia są w złych miejscach.*

JSG: Pana sztuka ma głębokie podłoże filozoficzne. Wszystko obraca się wokół istoty istnienia, bytu, życia, śmierci sensu tej naszej kosmicznej podróży.

WM: Intryguje mnie zagadka samej egzystencji. Idąc w głąb materii, odkrywamy coraz to nowe prawa rządzące komórkami, atomami. Nazywamy kolejny kształt, kolejną mikroskopijną cząstkę i dochodzimy do fali. Ale fali czego? Nie wiadomo. Dochodzimy do końca i dalej nie wiadomo. Trzeba wszystko zaczynać od początku. Bo jak może być fala bez materii. Taki to jest cykl.

Człowiek ciągle za czymś goni, ciągle gdzieś biegnie. Tylko po co? Tak jak w tej rozmowie na wsi dziadka z wnuczką – *musimy „egzystencjalizować”, więc „egzystencjalizujemy”.* Trzeba się w pewnym momencie zatrzymać, bo zaczynamy biegać w kółko. – *Idziemy tak daleko w mądrości, że niedługo złapiemy głupotę za ogon* – jak wyczytałem w graffiti w Genewie.

JSG: Czy Pana wykształcenie, ukończone studia z nauk biologicznych w Genewie, praca w Instytucie zootechniki

pod Paryżem, praca w szpitalu itd., zbliżyły Pana do życia, do natury, do przyrody? Czy stąd to Pana filozoficzne podejście do świata?

WM: Zawsze pociągała mnie biologia. Kocham przyrodę, naturę i ciekawi mnie porządek świata. Tylko nie miałem temperamentu naukowca, raczej filozofa. Powiedziano mi na uczelni, że mógłbym być chirurgiem. Ale operacje, to nie dla mnie. Więc zarzuciłem nauki biologiczne. Uniezależniłem się. Czułem się takim wolnym duchem. Pracowałem gdzieś u chłopca w Hiszpanii. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że czas leci. Jak sobie zdałem z tego sprawę, zacząłem żałować minionego czasu. Stąd ten mój pesymizm. Może to starość.

JSG: Podobno starzeje się mózg, a nie duch. A mózg można ćwiczyć.

WM: Mózg nie jest narzędziem, tylko odbiorcą, przekaźnikiem, jak stacja kolejowa. Wszystko co się w nas dzieje jest fizyczne, a nie emocjonalne. Inteligencja nie jest twórcza, inteligencja jest rekapitulacją. Twórczość jest wtedy emocjonalna, gdy przeżycie jest fizyczne.

JSG: W technikach wschodu, mówi się, że wszystko co się w nas dzieje, zależy od nas samych. Sami musimy znaleźć w sobie swój potencjał.

WM – Zachodnia koncepcja mówi – po 40. my się powtarzamy, a wschodnia – po 70. zaczynamy się uczyć. Ja się zgadzam z zachodnią, z tą różnicą, że są różne formy starzenia się. Nie każdy człowiek starzeje się tak samo, niektórzy nie chcą się zestarzeć i nie chcą umrzeć, inni to akceptują. To jest fascynujący temat. Testuję go na samym sobie. Czy jeszcze mam tę pamięć, czy mam tę siłę, czy jeszcze potrafię? A jak nie, to chyba nie warto żyć.

JSG: Pan tak dryfuje po życiu, jak żeglarz szukający swojej wyspy. Urodził się Pan i mieszkał w Krakowie, ale potem wyjechał Pan do Paryża. Z Paryża skierował Pan swoje loty na studia do Genewy, potem znów znalazł się Pan w Hiszpanii. Żyjąc takim „bohemian life”, jak to się stało, że znalazł się Pan w Toronto?

WM: Powód był bardzo zwyczajny – pamiętałem „Kanadę pachnącą żywicą” Arkadego Fiedlera. Ale wpadłem w sidła. Kiedy przyjechałem do Toronto zastanawiałem się, czy aby Fiedler się nie pomylił? To nie może być Kanada. Przybyłem w gorącym sierpniu, nie spodziewałem się takiego upału. Straszne ulice z drewnianymi słupami, jak z dzikiego zachodu. Wszedłem kiedyś do zakładu fotograficznego, potrzebowalem zrobić zdjęcie dla jakiegoś dokumentu, i widzę na ścianie fotografię panny młodej w ślubnej sukni, a tuż obok niej zawieszony portret wielkiego buldoga tej samej wielkości, co portret dziewczyny.

Pomyślałem sobie: *W Europie nie byłoby miejsca na takie „faux pas”*. Pytam więc dziewczynę obsługującą w zakładzie: *Przepraszam, czy to jej narzeczony?* A ona krzyknęła: *Ach!* i przestała na mnie patrzeć. No, myślę, skoro jeszcze nie straciłem poczucia humoru, to znaczy, że żyję.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Jak Pan wspomina początki pobytu w Toronto?

WM: Zacząłem od pracy w szpitalu Saint Joseph. Pracowałem tam parę miesięcy. Napisałem potem kilka historii w Vagabond. Święty Augustyn nauczał, żeby dawać pić niemowlętom. Bo on pamiętał prawdziwe pragnienie. Wiele dzieci umierało wtedy z pragnienia. Ja dodałem komentarz: *Do ostatniej chwili dajcie pić umierającym*. To jest z mojego własnego doświadczenia.

JSG: Ale dość szybko zaczął Pan współpracować z polską prasą.

WM: Pamiętam, przyszedłem do „Związkowca” do Bumka Heidenkorna i mówię – słyszałem, że jest tu polska prasa. Tu nie ma polskiej prasy – odpowiedział. – Jak będzie Pan miał pieniądze, to sobie Pan sam założy prasę. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że bez pieniędzy to potem zrobię. Jakiś czas współpracowałem z „Głosem polskim”. Założyłem też kolumnę etniczną w „Toronto Sun”.

JSG: Czy prosto było założyć kolumnę etniczną w kanadyjskiej prasie?

WM: Właśnie powstawała gazeta „Toronto Sun”. Więc się zgłosiłem i zaproponowałem prowadzenie kolumny etnicznej. Powiedziałem, że czytam wszystkie języki słowiańskie, wszystkie

języki romańskie, znam dość dobrze niemiecki, skandynawski rozumiem, a z Koreańczykami mogę rozmawiać telefonicznie. Mój pomysł im się spodobał i mnie przyjęli.

JSG: Na czym polegała Pana praca?

WM: Redaktorzy różnych pism etnicznych przysyłali mi swoje gazety, a ja wybierałem najciekawsze artykuły. Była też prasa polska, ale starałem się jej nie faworyzować. Kolumna ta widać miała powodzenie, bo długo się utrzymała. Była to bardzo wyczerpująca praca, ale dała mi dużo satysfakcji. Przerwałem, gdy miałem już tego dość.

JSG: A jaką gazetą był założony przez Pana w 1972 roku „Kurier Polsko-Kanadyjski”?

WM: „Kurier Polsko-Kanadyjski” działał na podobnej zasadzie, co kolumna etniczna w „Toronto Sun” – trochę tego, trochę tamtego. Dostawałem gazety polonijne z całego świata. Oprócz własnych artykułów i rysunków, zamieszałem artykuły z prasy polonijnej. Wycinałem różne informacje i ciekawostki, naklejałem i drukowałem. Własny materiał drukowałem stosunkowo nowo powstałym offsetem. Ponieważ mam zmysł kompozycji, pomimo, że kolumny były różnego formatu, udało mi się tak strony skomponować, żeby trzymały się tekstu, były ułożone tematycznie i wyglądały efektownie.



„Kurier Polsko-Kanadyjski” – gazeta założona przez Wilka Markiewicza, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Jak doszło do tego, że w Toronto powstała pierwsza prywatna polska gazeta? Proszę opowiedzieć trochę szczegółów?

WM: Zaraz po przyjeździe do Toronto, pracowałem przez pewien czas jako pomocnik pielęgniarski (*orderly*) w szpitalu św. Józefa. Jednym z pacjentów na moim piętrze był wówczas polski ksiądz, zdaje się, że był to ks. Kowalski. Kolega – Polak, który pracował ze mną, powiedział mi, że ksiądz ten jest wysoką figurą w hierarchii kościelnej. Rozmawiałem z nim na różne tematy, przy jakiejś okazji zacytowałem mu swoją aktualną fraszkę: *Co to będzie z tego Gierka? Czy to ogier, czy to gierka?* Spodobało mu się, przyjemnie było rozweselić kogoś w szpitalu i pomyślałem

sobie: *Jaka szkoda że nie mam kontaktu z polską prasą, której bym mógł tę fraszkę zaproponować.* Już wówczas nosiłem się z myślą założenia polskiej gazety, lecz w tym okresie współpracowałem z gazetami hiszpańskimi, między innymi z „Correo Hispano-Americano”, który mnie zainspirował do nazwy „Kurier Polsko – Kanadyjski” i z gazetą w języku francuskim „Courrier Sud”. Zanim założyłem „Kuriera”, ktoś mi doradził, może sam ks. Kowalski (?), żebym się skomunikował z jednym księdzem w polskim kościele na Dovercourt. Poszedłem tam i napotkałem młodego polskiego księdza, innego, niż ten, którego szukałem. Gdy mu powiedziałem, że mam zamiar wydać polską gazetę, dosłownie światło ukazało się w jego oczach i rzekł: *Czy wie pan że ma pan piękną ideę?* – powiedział. Widziałem go tylko raz i przelotnie, nie wiem jak się nazywał i gdzie obecnie przebywa. O ile jest w Toronto i przypadkowo przeczyta te słowa, niech wie, że nigdy go nie zapomniałem, te słowa i to światło w oczach zawsze mi dodawało otuchy w ciężkich chwilach. Gdy „Kurier” był już na półkach sklepowych, doszli inni przyjaciele. Może pierwszym z kolei był mec. Aleksandrowicz, którego poznałem niestety tylko przez telefon. Wyraził się z wielkim uznaniem o „Kurierze”, z głosu odniosłem wrażenie, że to bardzo dystyngowany pan. Nie zdążyliśmy się zapoznać, gdyż niedługo później zmarł. Poznałem p. Olbrychskiego, stryja aktora Daniela Olbrychskiego, który się bardzo zbliżył z „Kurierem”. Ostatni kontakt miałem z nim listowny i tragiczny; zawiadomił mnie o lekarskim werdykcie co do swego beznadziejnego stanu. Życzył

mi, by „Kurier” rósł, gdy jego już nie będzie. Pamiętam też przelotne spotkanie, w polonijnym klubie na Beverley, z księdzem, który przyjechał z Polski z wizytą. Z honorów jakie mu czynili kombatan ci wywnioskowałem, że to ważna figura. Zatelefonował mi w następnych dniach z podzięką „za ucztę duchową” , jaką mu sprawił „Kurier”. Dowiedziałem się też z miarodajnych źródeł, że ks. Tischner znał „Kuriera” i zwrócił uwagę między innymi na moje aforyzmy. Oczywiście, że poczułem się uhonorowany i wzruszony, bo wiedziałem o jego złym stanie zdrowia. Dalsze aforyzmy zamieszczałem z myślą o nim, z nadzieją, że znów do niego dotrą. Wszyscy życzliwi ludzie, i ci których wymieniam i ci, których nie wymieniam, ale pamiętam ich szczerozłote serce, dodali mi moralnej otuchy i w wielkiej mierze dzięki nim „Kurier” trwał.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Otaczał się Pan interesującymi, nietuzinkowymi ludźmi.

WM: Różni ciekawi ludzie przewijali się przez redakcję. Czy zna pani Edwarda Dragana? On pracował w Toronto jako szofer ciężarówki. Kawał chłopca. A do „Kuriera” pisał poezję. *Chodził on sobie wciąż po ulicach,/ mówił do siebie niesamowicie/ i modlił się po wszystkich kaplicach,/ takim dla niego było życie.* Tak pisał Edward Dragan. Snobistyczna Polonia go zlekceważyła.

Dlatego broniłem tych, którzy pisali z potrzeby serca. Bo tylko elitarne społeczeństwo, może sobie pozwolić na elitarne pismo.

JSG: Do dziś w wielu sercach istnieje Pan jako twórca „Kuriera”. Jeśli dotrze się chociaż do jednej osoby, która coś przeżyje dzięki nam, to znaczy, że było warto pracować, nawet bardzo ciężko.

Rozmowa została przeprowadzona w Toronto w 2004 r., a uzupełniona w 2010 r. Wiliam Markiewicz zmarł w listopadzie 2014 roku w Toronto.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

Wiliam Markiewicz, urodzony w Krakowie, ukończył nauki biologiczne na Uniwersytecie w Genewie. Mieszkał w Paryżu i Hiszpanii, a od 1970 roku w Toronto. Redaktor kolumny etnicznej w „Toronto Sun” 1971 – 85. Wydawca i redaktor „Kurieru Polsko -Kanadyjskiego 1972 -86 – pierwszej prywatnej gazety polonijnej na kontynencie amerykańskim.

Współpracownik Canadian Political News & Life 1988 – 89. Dziennikarz francuskiego pisma „Voir” w Szwajcarii, oraz „Courier Sud” (Toronto), „Correo Hispano – Americano (Toronto), „Latino” (Toronto), współpracownik „Głosu Polskiego” i „Związkowca” (Toronto). Wysłannik Kanadyjskiej Federacji Prasy Etnicznej na konferencje NATO w Brukseli (1977). Autor noweli „Kanibale duszy”, która ukazała się w wydawnictwie „Historias para no dormir” (Madryt) oraz w pismach ukazujących się w językach: hiszpańskim, francuskim i polskim w Toronto. Autor opowiadania „Ośmiornica”, które ukazało się w „Fantastyce” (Warszawa) oraz po hiszpańsku i po francusku w pismach w Toronto, a także po angielsku w prowadzonym przez siebie piśmie internetowym – „Vagabond Pages”.

Jako artysta malarz prezentował swoje prace na wystawach zbiorowych i indywidualnych m.in. w Toronto (w Galerii Laurier na Dundas West, między Islington a Kipling) oraz we Francji, Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii, Włoszech.

Nagrody:

- Nagroda Kanadyjskiego Klubu Dziennikarzy Etnicznych.
- I nagroda i medal miasta Antibes na Międzynarodowej Wystawie Malarskiej na Lazurowym Wybrzeżu.
- Honorowe wyróżnienie na międzynarodowej wystawie malarskiej w Varese (Włochy).
- Honorowe wyróżnienie na wystawie miniatur w Toronto.

- The 2001 Miniature Book Society Distinguished Book Award, USA (za reportaż „Powrót do Paryża”, wydany przez Pequeno Press w USA).

Członek:

The Philadelphia Print Club,
Toronto Press Club,
Alianza Cultural Hispano - Canadiense.

Jego artykuły „Pity and Horror” (Litość i zgroza) oraz „Abortion and Biology” (Aborcja i biologia) ukazały się w pismach dla pielęgniarzy i medyków w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. „Disinformation as a War Crime” (Dezinformacja jako zbrodnia wojenna) znalazła swoje miejsce na str. 64 - 65 w glosariuszu kontrowersji „Many a Slip...” wydanego przez prof. Gregory James’a z Language Centre, Hong Kong University of Science and Technology. „Return to Paris” (Powrót do Paryża), w formie miniatury artystyczno-literackiej o ograniczonym nakładzie, wydana przez Pequeno Press w Bisbee, AZ.

Zbiór aforyzmów Wiliama Markiewicza „Extracts of Existence” został wydany przez High Park Pages w Toronto. Książkę ilustrował sam autor. Niektóre rozdziały przetłumaczone na język polski ukazywały się w „Nowym Kurierze” w Toronto. W 2004 roku zbiór ten ukazał się w formie książkowej p.t. „Okruchy bytu” wydany przez wydawnictwo „Silcan House”. Książka jest

również ilustrowana przez autora. Na okładce znajdują się reprodukcje drzeworytów „Maska” i „Ewa”. Projekt okładki i stron tytułowych – Zbigniew Stachniak.

Aspirując do miana artysty

Ze zwycięzcą Międzynarodowego Mistrzowskiego Konkursu Pianistycznego im. Artura Rubinsteina w Tel Awiwie, Szymonem Nehringiem, rozmawia Bożena U. Zaremba.



Szymon Nehring, fot. Wojciech Grzędziński.

Bożena U. Zaremba: Zwycięstwo w Tel Awiwie to dotychczas Pana największy sukces. Czy może Pan przybliżyć nam ten konkurs?

Szymon Nehring: Jest to bardzo trudny, pięcioetapowy konkurs, trwający trzy tygodnie. Myślę, że pod względem kondycyjnym jest trudniejszy niż Konkurs Chopinowski. Wymaga doświadczenia koncertowego, co w młodym wieku jest oczywiście trudne. Na przykład zagranie samego finału, który składa się z trzech etapów, każdy z zupełnie innym repertuarem: gra się dwa koncerty fortepianowe – jeden klasyczny, jeden romantyczny. To było zresztą wspaniałe przeżycie – I Koncert

Beethovena grałem z orkiestrą Camerata Israel, a III Koncert Rachmaninowa z Israel Philharmonic Orchestra. Jest to fenomenalny zespół, jeden z najlepszych orkiestr na świecie. No a wcześniej są oczywiście recitale solowe, każdy po godzinie. Kondycyjnie to wszystko jest bardzo wyczerpujące i największym wyzwaniem jest to, jak każdy sobie poradzi z własną wytrzymałością podczas trwania całego konkursu.

BUZ: Jest Pan także laureatem nagród na Konkursie Chopinowskim, między innymi zdobył Pan nagrodę publiczności. Pokrywa się to z komentarzami jakie można przeczytać na YouTube pod Pańskim wykonaniem Koncertu fortepianowego e-moll podczas finałowego etapu konkursu - wiele osób było zaskoczonych, że to nie Pan wygrał. Mówili o tym, że zwycięzca grał bezbłędnie, ale Pan grał przepięknie...

SzN: Faktycznie etap finałowy był moim najlepszym, ale wiadomo, że publiczność słucha wybiórczo. Trudno przesłuchać wszystkich kandydatów od początku do końca, tak jak to robi jury. Pianista, który wygrał, Seong-Jin Cho, nie jest bynajmniej maszynką do grania, co się często zdarza, a w przypadku Azjatów, to już taki stereotyp. Seong-Jin Cho jest prawdziwym artystą i ja nie postawiłbym siebie wyżej od niego w klasyfikacji konkursowej. Ale muszę stwierdzić, że podczas przygotowań i w czasie samego konkursu bardzo dużo się nauczyłem i w Tel

Awiiwie grałem już na zupełnie innym poziomie.

BUZ: Kiedy pianista może nazwać siebie artystą?

SzN: Nie czuję się upoważnionym do wydawania takiej oceny, ale wydaje mi się, że celem artysty jest dotarcie do słuchaczy w sensie emocjonalnym. Jeżeli pianista potrafi przez tekst kompozytora, jednocześnie nie nadużywając tekstu muzycznego, przekazać swoją duchowość i pobudzić duchowość odbiorcy, to myślę, że ten cel osiąga.

BUZ: Kontynuując temat Pańskich sukcesów - po wygraniu konkursu im. Rubinsteina, zagrał Pan w Carnegie Hall w Nowym Jorku i będzie Pan miał okazję wystąpić tam jeszcze raz podczas koncertu z okazji 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

SzN: Tak, i oczywiście bardzo się cieszę, także dlatego, że to będzie niesamowita okazja popularyzacji polskiej muzyki. To taki znamieny rok i będę się starał grać dużo muzyki polskiej. A zagrać w Carnegie Hall z takiej okazji to szczególne wyróżnienie.

BUZ: W ogóle ostatnio bywa Pan często w Stanach Zjednoczonych z racji studiów w Yale School of Music.

SzN: Tak, robię tzw. Artist Diploma, co jest na poziomie studiów

magisterskich. Są to specjalne studia dla muzyków, którzy dużo koncertują. Zajęcia są tak ustawione, że ma się dużo swobody i można w tym czasie jeździć po świecie i koncertować.



Szymon Nehring, fot. Wojciech Grzędziński.

BUZ: Porozmawiajmy trochę o Pańskiej edukacji muzycznej. Nauczyciele spełniają różne role - uczą rzemiosła, są wychowawcami, mentorami. Na jakich nauczycieli Pan trafił?

SzN: Moją pierwszą nauczycielką, przez 11 lat, była prof. Olga

Łazarska, potem pracowałem z prof. Stefanem Wojtasem. Oboje nauczyli mnie dyscypliny, co przyznam, zajęło mi sporo czasu, a dyscyplina jest bardzo ważna dla człowieka, który ma występować regularnie. Mówimy nie tylko o dyscyplinie ćwiczenia, ale także o dyscyplinie życia w ogóle. Pani Łazarska odegrała bardzo istotną rolę, bo oprócz nauki rzemiosła wyrobiła we mnie wrażliwość muzyczną. Mogę powiedzieć, że otrzymałem wszechstronne wykształcenie i większość czego umiem właśnie jej zawdzięczam. Profesor Wojtas nauczył mnie natomiast podejścia do tekstu i do roli pianisty, który ma być wykonawcą i jego indywidualność nigdy nie może być istotniejsza od tekstu kompozytora.

BUZ: A jakie ma Pan oczekiwania, jeżeli chodzi o Yale? Czego jeszcze chciałby Pan się nauczyć?

SzN: O, bardzo dużo [*śmiech*]. Muzyka to jest taki proces jak samo życie – nauka nigdy się nie kończy, a im więcej się odkrywa, tym bardziej się widzi, czego się nie umie i co można jeszcze rozwinąć. Mogę wymienić moje dwa główne cele na ten czas. Na pewno jest to rozszerzenie mojego repertuaru. Chciałbym się skupić na repertuarze rosyjskim, jako że studiuję z prof. Borisem Bermanem, który [*jest Rosjaninem i*] świetnie się zna na tej muzyce. Chciałbym też sięgnąć po repertuar, którego jeszcze nie grałem, np. impresjonizm. To jest okres muzyczny, któremu się jeszcze dokładnie nie przyglądałem, bo zajmowałem

się nieco innymi działami muzyki. Poza tym, chciałbym się nauczyć większej otwartości, jeżeli chodzi o granie przed publicznością.

BUZ: Wielu znakomitych pedagogów muzycznych podkreśla, że pianista powinien mieć nie tylko wielostronne wykształcenie muzyczne, ale też tzw. doświadczenie życiowe, zainteresowania pozamuzyczne, powinien rozwijać wrażliwość nie tylko na muzykę, ale także na otaczający świat. Jak Pan wypełnia świat pozamuzyczny?

SzN: Głównie czytaniem książek. Doświadczyłem niedawno takich dwóch lat, kiedy nie bardzo potrafiłem sobie zorganizować czas na robienie czegoś innego poza graniem przez dziewięć godzin dziennie. I doszedłem do wniosku, że tak nie można. Człowiek nie ma wtedy nic do powiedzenia, staje się rzemieślnikiem, a nie aspiruje do miana artysty. A co robię w tym kierunku? Na pewno bardzo sprzyja temu pobyt w Nowym Jorku. Staram się tam jeździć mniej więcej dwa razy w miesiącu. Niedawno byłem przez dwa tygodnie i odwiedziłem [Muzeum Sztuki Nowoczesnej] MoMA, Metropolitan Museum of Art, byłem na koncercie w Carnegie Hall i na „Weselu Figara” w Metropolitan Opera. To są niesamowite przeżycia. Wydaje mi się, że Nowy Jork jest światową stolicą kultury. To na pewno bardzo mnie rozwija. Poza tym staram się czytać jak najwięcej, a

ponieważ dużo podróżuję więc czas mam. Książki mnie inspirują i odświeżają mój umysł.

BUZ: Co Pan ciekawego czytał w ostatnim czasie?

SzN: Kończę właśnie książkę o buddyjskiej medytacji. W ogóle dużo spędzam czasu na medytacji, bo wydaje mi się, że daje to odświeżenie strony duchowej. Zafascynowała mnie też klasyka literatury. Przeczytałem dopiero co „Portret Doriana Graya” [Oskara Wilde’a], skończyłem też „Braci Karamazow” [Fiodora Dostojewskiego]. W ogóle uwielbiam Dostojewskiego. Przeczytałem oczywiście lekturę szkolną „Zbrodnię i karę”, ale niedawno sięgnąłem też po „Idiotę”. Rosyjska literatura bardzo mnie pociąga. Przeczytałem też ostatnio „Martwe dusze” [Mikołaja Gogola], które bardzo mnie poruszyły. Teraz kupiłem sobie „Fausta” Goethego i „Sonety” Szekspira.

BUZ: Do tradycji wywiadów Chopin Society of Atlanta należy pytanie artystów o Chopina. Co Pana najbardziej fascynuje w jego muzyce ?

SzN: Najbardziej mnie wzrusza i najbardziej sobie cenię to, że Chopin najwyraźniej ze wszystkich kompozytorów zbliżył fortepian do głosu ludzkiego. To jest właśnie ten wokalny charakter i deklamacyjność, a także naturalny styl każdej frazy, która u Chopina jest szczera i przemawia głęboko do serca. Poza

tym świeżość, co sprawia, że granie tej muzyki jest dużym wyzwaniem, bo łatwo dojść do momentu, kiedy przychodzi nieszczerość. Nie jest wcale tak, że ćwicząc więcej zagra się tę muzykę lepiej. Żeby mieć coś od siebie do powiedzenia trzeba wiedzieć, kiedy się zatrzymać. Zdarza się to w każdej muzyce, ale u Chopina jest to najtrudniejsze.

BUZ: Jak wyczuć ten moment?

SzN: To przychodzi wraz z doświadczeniem. Podczas Konkursu Chopinowskiego, pamiętam, że nie potrafiłem jeszcze nad tym zapanować. Szczególnie w przypadku Chopina też jest istotne, żeby posiadać dużo wiedzy na jego temat i na temat jego muzyki. Czasem lepiej jest popracować przy stole studiując nuty niż przy fortepianie, albo nawet bez nut, medytując nad tą muzyką, a nie grając ją. Trzeba przemyśleć formę i charakter utworu, a nie ćwiczyć mechanicznie.

BUZ: Czy dużo słucha Pan innych wykonawców?

SzN: Właściwie nie tak dużo, a jeżeli już to pianistów takich jak Hofmann czy Friedman – artystów ze starszej epoki. Nie grają perfekcyjnie, czego dzisiaj się wymaga od pianistów, ale w ich interpretacji jest dużo treści. Jest to dla mnie bardzo inspirujące i powoduje, że mam chęć pracować nad danym utworem.



Szymon Nehring podczas koncertu z orkiestrą, fot. Wojciech Grzędziński.

BUZ: Podczas Konkursu Chopinowskiego powiedział Pan, że spotkania z innymi młodymi pianistami są bardziej inspirujące niż z doświadczonymi artystami.

SzN: To oczywiście była taka wypowiedź pod wpływem chwili. Nie znaczy jednak, że tak jest zawsze. Ale to, co wpływa na nieć porozumienia z rówieśnikami, to podobne doświadczenia życiowe. I nie ma tego dystansu wiekowego, jaki naturalnie istnieje w przypadku spotkania ze starszymi artystami. Pamiętam, jak na Konkursie Chopinowskim, kiedy czekając na ostateczne wyniki, siedzieliśmy w dziesięć osób, finalistów, w

jednym pokoju i razem graliśmy fragmenty różnych utworów, każdy inaczej. To było bardzo ciekawe – spotkanie osób o tak bardzo odmiennych zapatrywaniach na muzykę. Na pewno zapamiętam to wydarzenie na długo.

BUZ: Jak w takim razie krótko zdefiniowałby Pan swoje podejście do muzyki?

SzN: Gdybym miał to ująć w kilka zdań, to przy maksymalnym szacunku dla kompozytora, odnalezienie takiego języka, z którym pianista może się utożsamić w danej muzyce i połączenie tych dwóch rzeczy w spójną interpretację. Niestawianie własnej indywidualności przed utwór, który się wykonuje, ale zawarcie tej indywidualności w tym utworze, w takiej formie w jakiej jest napisany. Na Konkursie Chopinowskim byli tacy pianiści, którzy przede wszystkim chcieli pokazać siebie, co przejawiało się jasno w ich sposobie grania. To się wielu ludziom podoba. Nie znaczy, że jest to złe, ale ja się z tym nie identyfikuję.

Szymona Nehringa można będzie usłyszeć 11 lutego, 2018 roku o godzinie 18:00 pm w Roswell Cultural Arts Center w Atlancie.

Wywiad został przeprowadzony dla Chopin Society of Atlanta.
Więcej informacji: www.chopinatlanta.org

Angielska wersja wywiadu:

<http://www.chopinatlanta.org/interviews/SzymonNehring.html>

Portal artysty: www.szymonnehring.com

Słowa ze skradzionych chwil



Florian Śmieja z żoną Zofią, córką Anią i wnukiem w domu w Mississaudze w Kanadzie, fot. arch. Z. i F. Śmiejów.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Był Pan przez wiele lat związany ze stolicą Wielkiej Brytanii i mocno osadzony w powojennym środowisku literackim tego miasta. Wielokrotnie pisał Pan o barwnej atmosferze artystycznej powojennego Londynu. Gdzie należałoby szukać przyczyny, tej ogromnej fali twórczości i wybitnych talentów w tym czasie?

Florian Śmieja:

Po zakończeniu działań wojennych, byli żołnierze mieli bardzo dużo zapału i energii, stąd ten dynamiczny rozwój idealizmu. Londyńska emigracja była pokaźna, ok. 100 tys. Polaków i wśród

niej było bardzo wielu utalentowanych ludzi, wychowanych przez drugą Rzeczpospolitą, dla których często nie było powrotu do kraju. Co któryś młody człowiek w plecaku nosił pióro lub pędzel i jak nie pisał, to malował. Do Anglików trudno było przylgnąć, bo Anglia była wówczas krajem zamkniętym, z własną tradycją, robiącym trudności w asymilacji. Stąd duża potrzeba życia we własnej społeczności, spotykania się, działania i to zwykle honorowo. Wychodziły sukcesywnie czasopisma, przy niewielkich nakładach finansowych. Profesorowie wykładali za darmo i płacili za przejazd na wykłady z własnej kieszeni. Dlatego, mimo braku pieniędzy i możliwości zawodowych, ówczesna londyńska Polonia miała tyle osiągnięć. Ludzie pisali wspomnienia, pamiętniki, wiersze. Twórczość ich była terapią nie tylko dla piszących. Kultura dawała pewne możliwości upustu i stąd tyle najrozmaitszych dowodów aktywności intelektualnej, artystycznej, z której będziemy ciągle czerpać.

JSG: Takim przejawem aktywności kulturalnej z tamtego czasu, była grupa „Kontynenty”, której jest Pan jednym z założycieli i pierwszym redaktorem pisma.

FŚ: Po trzyletnich studiach w Irlandii w roku 1950 przyjechałem do Londynu do pracy u dr Jerzego Pietrkiewicza. Natychmiast też wszedłem w kontakt z absolwentami i studentami usiłującymi stworzyć pismo młodych, które zaczęło się od kolumny w tygodniku, a potem miesięczniku „Życie”. W 1951 roku zostałem

redaktorem „Życia Akademickiego” (miesięcznego dodatku do tygodnika katolickiego „Życie”). Drukowaliśmy wtedy cztery strony, ale po jakimś czasie oddzieliliśmy się. Potem doszliśmy do wniosku, że dawanie komunikatów i pisanie o studentach nas nie zadawała. Wtedy „Życie Akademickie” przerodziło się w pismo „Merkuriusz Polski” i tam pojawiało się więcej ambitnych tekstów, felietonów, esejów, satyr. Po jakimś czasie doszło do scysji z wydawcą, władzami Zrzeszenia Absolwentów i Studentów, gdyż młodzi ludzie zaczęli zabierać głos w sprawach stanowiska politycznego wobec Polski. Mówiono, że młodzi się wyłamują, że chcą nawiązać kontakty z komunistyczną Polską, że nie stoją na straży wartości. Przyszedł taki moment, że materiały, które ukazywały się w „Merkuriuszu” po Październiku, nie spodobały się starszyźnie. Na walne zebranie przyjechał gen. Władysław Anders i podziękowano redakcji. Wtedy założyliśmy własne, od nikogo już nie zależne pismo „Kontynenty”. Od początku współpracowali z nami ludzie na całym świecie, w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, w Izraelu. Drukowaliśmy za minimalną cenę, nikt żadnych pieniędzy nie brał, wręcz przeciwnie, składaliśmy się po funcie na miesiąc, żeby zapłacić Bednarczykom za druk. I tak z biuletynu związkowego „Kontynenty” stały się z czasem pismem kulturalnym o ambicjach poetyckich. Współpracownicy zaczęli wydawać debiuty poetyckie i wyszły dwie antologie, jedna na Emigracji, a druga w Polsce. Aczkolwiek „Kontynenty” przestały wychodzić w 1966 roku, przetrwała ich legenda i znalazła

oddźwięk na polskich uniwersytetach.

Teraz o „Kontynentach” dużo się mówi w Polsce, a na kilku uniwersytetach studiuje się tę grupę. Ukazało się już drukiem kilka doktoratów na ten temat w Toruniu, Katowicach, Lublinie, Rzeszowie.

JSG: Jednym ze współtworzących „Kontynenty” był m.in. książdz profesor Janusz Ihnatowicz, laureat nagrody literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

FŚ: Cieszę się, że On i Jego mądre wiersze zostały w końcu dostrzeżone, gdyż wczesny wyjazd do Ameryki oddalił Go nieco od Londynu, głównego ośrodka emigracyjnych przetargów literackich. Dobrze też się stało, że zdążono uhonorować ogromnie pracowitego i zasłużonego dla teatru polskiego Bolesława Taborskiego (1927-2010).

JSG: Jak to się stało, że po 25 latach pobytu na Wyspach Brytyjskich przeniósł się Pan też do Londynu nad Tamizą, tylko że w Ontario?

FŚ: W moim życiu doświadczyłem wielu przypadkowości losu, jedną z nich była przeprowadzka z Wielkiej Brytanii do Kanady. Nie była to translacja ani zamierzona, ani nawet wyśniona. Jeden z moich kolegów z London School of Economics po stażu w

Kanadzie, doniósł mi, że uniwersytet, który go zatrudnił był zainteresowany zaangażowaniem profesora języka hiszpańskiego, który miał doktorat Uniwersytetu Londyńskiego. Napisałem do kierownika katedry i dostałem zaproszenie na rok w charakterze wizytującego profesora nadzwyczajnego w roku 1969.

Niewiele wiedziałem o miejscu i uczelni do których się wybierałem. Po przyjeździe okazało się, że trafiłem do ślicznego miasta i renomowanej uczelni. Respektowano tam wiele angielskich tradycji znanych mi z Anglii. Po paru miesiącach zaproponowano mi stałą pracę, którą wykonywałem przez 22 lata do przejścia na emeryturę w 1991 roku.

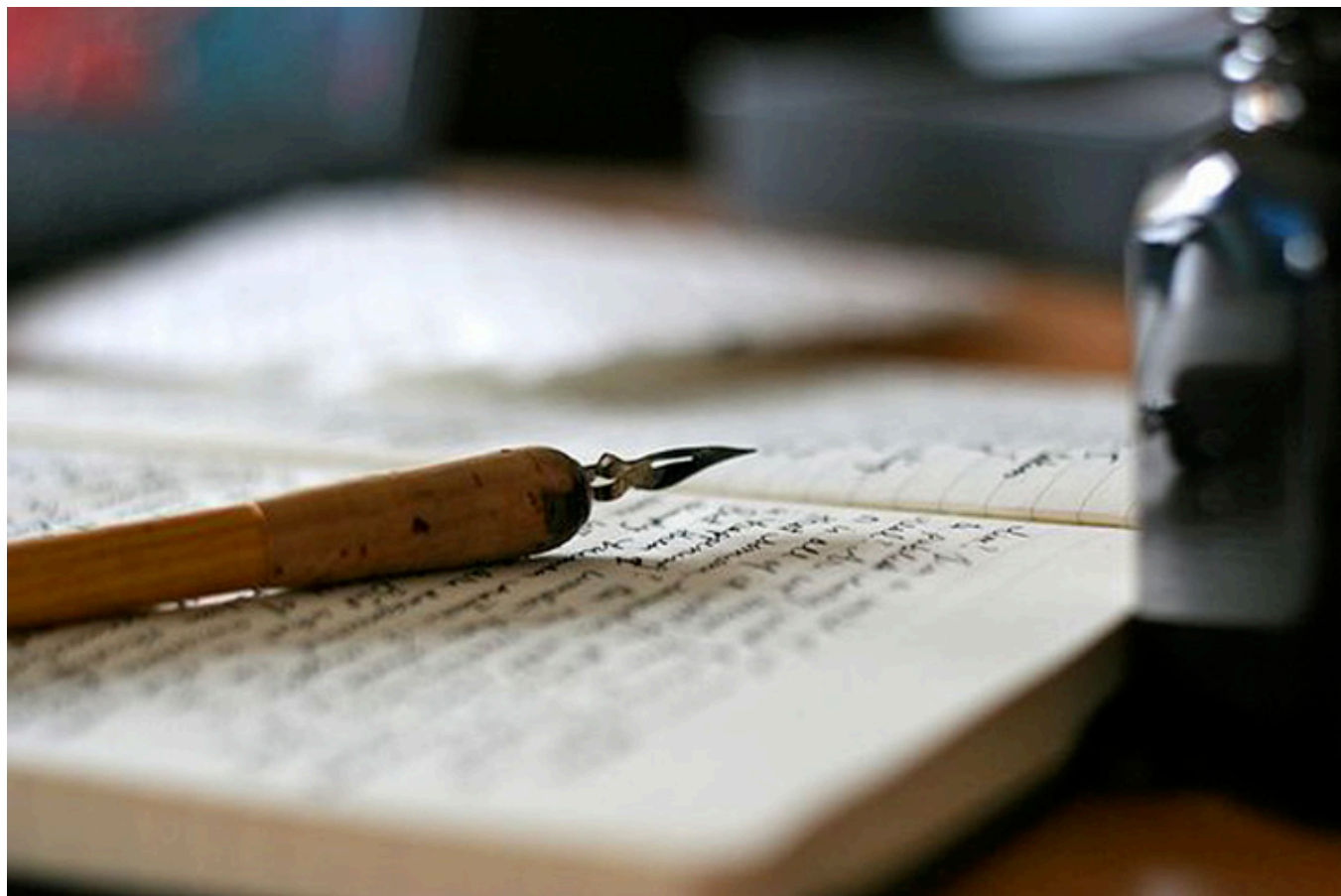
JSG: Czym różniło się środowisko polonijne na Wyspach po wojnie od środowiska polonijnego w Kanadzie w latach późniejszych.

FŚ: Sądzę, że porównujemy tu sytuacje diametralnie różne. W przeciwieństwie do powojennego „polskiego” Londynu, w którym obserwowano się wysyp twórców, a jakość takich pism jak chociażby miesięcznik „Kultura” po dziś dzień nie została w Polsce osiągnięta, w prowincjonalnej Kanadzie skupisko polonijne, integrujące nowych imigrantów, z trudem próbowało w mało znanym środowisku znaleźć się gospodarczo, zakładało staroświeckie parafie i kontentowało się najprostszymi daniami

kulturalnymi.

JSG: Ale po przyjeździe do Ontario, również rozpoczął Pan działalność kulturalną.

FŚ: W Kanadzie już w 1972 roku pomogłem założyć Polski Klub Dyskusyjny, który w prywatnym domu organizował spotkania i kulturalne oferty (mieliśmy m.in. wizyty Stefana Kisielewskiego, Jerzego Turowicza, Jerzego Pietrkiewicza). W lokalnej stacji telewizyjnej emitowałem 150 półgodzinnych programów telewizyjnych „Mosaic London”, w lokalnej bibliotece czytałem poezję po polsku i po angielsku.



JSG: Po przejściu na akademicką emeryturę, przyjeżdżał Pan wiele razy do Polski, by uczyć literatury hiszpańskiej młodych Polaków. Mówił Pan kiedyś, że traktuje tę pracę, jak spłacanie długu wobec ojczyzny. Jaki dług miał Pan na myśli?

FŚ: Na obczyźnie zdobyłem kwalifikacje i praktykę pedagogiczną. Wykładałem Anglikom i Kanadyjczykom przez ponad czterdzieści lat. Zapragnąłem się podzielić wiedzą także z Polakami i dlatego poczułem, że lata po przejściu na emeryturę, które spędzam w Polsce, są dla mnie niespodziewanym dobrodziejstwem darowanym przez los. Udało mi się zetknąć z

setkami studentów nie tylko w Krakowie, Wrocławiu, Opolu i Częstochowie, ale także w Ostrawie i Wilnie. Jestem po dziś dzień w kontakcie z niektórymi, jedną z byłych studentek z Wrocławia, odwiedziłem w Phoenix w Arizonie, a kariery innych śledzę, z niektórymi komputerowo współpracuję.

JSG: Jaką radę mógłby Pan dać, tym wszystkim młodym ludziom, którzy pragną tworzyć?

FŚ: Jeżeli człowiek nosi w sobie istotne przesłanie, które chce wypowiedzieć i to w sposób niebanalny, pierwszą satysfakcję będzie miał, jeśli mu się to uda. To już jest osiągnięcie, bez względu na to, czy spotka się z przyjęciem czy nie. Ważne jest, żeby być sobą, żeby nie być epigonem niczyjej myśli, nie iść w ślady innych ludzi, podszywać się pod nich, nie bać się jasności. Odpowiedzialność za naszą twórczość gwarantuje jej autentyzm. Nie należy przejmować się modą. Bycie dekonstrukcjonistą czy postmodernistą jest czymś chwilowym i wtórnym. Sukces powinien być niespodzianką, nawet dla autora. Może on oznaczać wiele rzeczy. Także dojrzałość, względnie znalezienie własnego głosu. Młody człowiek winien najpierw poznać siebie i upewnić się, że na prawdę chce i musi pisać, bo jak się nuży i szybko odpada, to znaczy, że się tylko bawił.

JSG: Od wielu lat utrwała Pan historie związane z ludźmi twórczymi, o których powinno się pamiętać. Czym dla Pana

jest bogactwo kontaktów i więzi międzyludzkich?

FŚ: Cieszyłem się zaufaniem i przyjaźnią wielu pięknych ludzi. Nie wszyscy mieli okazję, by obecność swoją zaznaczyć w ludnych i głośnych centrach. W emigracyjnym rozproszeniu ginęły nazwiska twórców, którzy zasługiwali na pamięć. Dlatego jadąc do Kalifornii szukałem Jana Kowalika i Jana Leszczę, do Wenezueli – Przemysława Chróściechowskiego, w Londynie szukałem Olgi Żeromskiej i Wojciecha Gniatczyńskiego, w Hiszpanii odnalazłem Piotra Guzego. Cieszę się też, że Jan Darowski wyszedł z cienia. Chętnie o nich piszę przeświadczony, że robię dobrą robotę. Przekonany jestem, że więzy międzyludzkie są na emigracji konieczne, by przetrwało poczucie podstawowej, podskórnej solidarności. Związek Polaków w Niemczech przed wojną ustanowił własny, szlachetny kodeks postępowania i jedno z jego praw brzmiało „Polak Polakowi bratem”. Hasło nadal do zastosowania.

JSG: Stara się Pan, aby obraz przywoływanych postaci, który wyłania się z zakamarków pamięci był jak najbardziej prawdziwy.

FŚ: Nieraz ma się takie wahania, zastanawiamy się, co to jest tzw. prawda. Czy prawdą należy szkodzić człowiekowi, czy lepiej przemilczeć pewne rzeczy. Jeżeli przemilczeć, to czy zaznaczyć, że się czegoś nie dotyka? Myślę, że tu kultura człowieka ma duże

znaczenie. No i wiek. W młodym wieku człowiek wszystkich chce atakować, myśli, że ma do tego prawo, właśnie w imię prawdy. Z wiekiem człowiek pokornieje i rozumie, że trzeba bardziej oględnie pewne sądy ferować.

JSG: Prowadząc aktywne życie zawodowe na polu nauki i kultury, a jednocześnie nie zaniedbując życia rodzinnego, jak udało się Panu znaleźć czas na własną, tak bogatą, nagradzaną twórczość literacką i translatorską?

FŚ: Twórczość jest darem. Mogło jej nie być, mogła być bardziej wybitna, bogatsza. Nie była moją główną aktywnością i nie odbywała się w próżni, ale w życiu dość dramatycznym, na obcych ziemiach, wśród różnych ludzi, w przyswojonych językach. Wybory nie były wolne, przypadkowość wymagała szczęścia. A w czasach spokojniejszych było zbyt wiele pokus, obowiązków, powinności, ciężarów, prób, ciekawości. I one tę twórczość wybierały i kształtowały, ograniczały i wzbogacały. W żadnym momencie nie było dane skupienie się na jednym, by rezultat był godny, miał wagę swoją i rangę, miał ciężar gatunkowy i klasę. Niekiedy musiała wystarczyć powierzchowność, muśnięcie, wspomnienie. Twórczość musiała się zadowolić marginesem, skradzioną chwilą, ułamkiem uwagi. Brakowało fachowej krytyki, płynny był konsument, a ja unikałem doktrynerów. Starłem się stronić od wysmażania schematów konstruowanych wedle uczonych recept modnych

alchemików, radowały mnie spontaniczne podszepty rodzimego pióra zdumiewające nieraz piszącego. Te nieliczne bardziej udane teksty sprawiają niespodziankę. Do takich zaliczę przekład „Platero y yo” – „Srebroń i ja” Jimeneza, „Wyrocznień podręczną” Baltasara Graciana oraz „Historię o Abindarraezie i pięknej Haryfie” anonimowego autora. No i tuzin albo dwa wierszy.

Wywiad ukazał się w „Pamiętniku Literackim” w Londynie.

Śląskie emigracje i powroty



Kazimierz Kutz, fot. Bartłomiej Barczyk, za biografia24.pl.

Marek Baster: Co mówiła matka, kiedy wyjeżdżał Pan ze Śląska w wielki świat?

Kazimierz Kutz: „Pamiętaj, mój mały, z czepkiem w dłoni przejdziesz przez świat cały”...

MB: To znaczy: bądź skromny i ułożony, tak?

KK: Nie narażaj się. Zdejmuj czepkę przed kimś, kto na to zasługuje. Nie szalej, nie buntuj się. To było przesłanie, które wynikało z wielopokoleniowego doświadczenia robotniczej sfery na Śląsku, gdzie strajki i powstania uczyły, że jak człowiek chce

coś zmienić, to się naraża. Więc nie buntuj się. Mimo klęsk i sukcesów, żyj przyzwoicie – w gruncie rzeczy w zgodzie z Dekalogiem, z którym Ślązacy byli prawie na „ty”. Rób swoje i nie daj się zniszczyć – taka była filozofia mojej matki, która się bała o dziecko, które wybiera niebezpieczną ścieżkę, z dala od swoich.

MB: I co Pan zrobił z tym przykazaniem?

KK: Ja je wciąż słyszę. Bo można o mnie różne rzeczy mówić, ale w istocie pozostaję w środku skromnym człowiekiem. Między innymi dlatego, że nie myślę kategoriami biznesu czy kariery, tylko staram się robić swoje. Właśnie: z czepkiem przez ten świat przejść.

MB: No, to się sprawdziło.

KK: Wie pan, pewnie nie wszystko. Moja matka do końca życia nieładnie się o mnie bała. Że pyskuję, narażam się, że mnie napadają. Była przerażona, czytając z przejęciem o różnych moich wybrykach, ale z drugiej strony była szczęśliwa, że do czegoś dotarłem i że jestem kimś. I tylko drżała, żebym nie został przemielony. Ale wiedziała, że wszystko to jest efektem wolności, którą sama we mnie rozbudziła. Więc miała poczucie winy i satysfakcji jednocześnie. Jak się dowiadywała o jakichś moich przejściach, od razu sobie tłumaczyła, że za tę moją rogowatość

będę odsuwany i biedny, że sobie nie dam rady w życiu, choć się jej do tego nie przyznam. W pewnym momencie, to było jakoś w stanie wojennym, przysłała mi swoją rentę. Bez słowa. Ja bez słowa jej te pieniądze odesłałem. I ona się na mnie bardzo obraziła.

MB: Wychowanie w wolności - to nie była wtedy zwykła na Śląsku postawa.

KK: Moja matka była genialna. Tutaj tak się chowało dzieci, żeby się kamuflowały, nie zdradzały. Pracuj i siedź cicho, bo jak nie, to będziesz miał problemy. A ona nas wszystkich wychowała w fantastycznej wolności, w której mogliśmy ujawniać charaktery, również z wszystkimi wadami. Wychowała nas po prostu na inteligentów. Ludzi, jak mówiła, okrzęsanych. Czyli po dzisiejszemu - wykształconych, którzy nie godzą się na bycie robolem, buntują się.

MB: Więc jednak bunt.

KK: Przeciwno śląskim ograniczeniom, które zakreślały świat naszych rodziców. Ja z grupą kolegów spędziłem okupację na samokształceniu. Dzieci powstańców, pierwsze pokolenie Ślązaków, które chodziło do polskiej szkoły - poszliśmy w konspirację kulturalną. Bardzo nie polską przecież, chociaż patriotyczną, bośmy byli przekonani, że ta Polska jednak będzie.

Dlatego niewiarygodnie pracowaliśmy nad sobą. I nie Sienkiewicza czytywaliśmy, a Goethego i Woltera. A jak się wojna skończyła, byliśmy już inni od rodziców. Jeszcze strzelali, a myśmy lecieli zapisywać się do gimnazjum, do harcerstwa, do sportu. Wiedzieliśmy, że Polska potrzebować będzie mądrych ludzi. Ja miałem w głowie tyle książek, że nauczyciele dziwili się, skąd ten gówniarz tyle może wiedzieć. I bardzo dobrze kombinowaliśmy – powiem, że bardzo po śląsku, bo praktycznie.

MB: Ale zawód to Pan sobie wybrał mało „praktyczny”.

KK: Wie pan, ja idąc do szkoły filmowej nie wiedziałem, kim jestem ani jakie są moje możliwości. To była bardziej intuicja, bo przecież ta szkoła dopiero co powstała. Pewnie też miałem lęk przed uniwersytetem, bo chociaż mówiłem świetnie po polsku, kultura polska mnie onieśmiałała. Jednak człowiek pochodzący ze Śląska, obracający się wśród ludzi niewykształconych, nie czuł tego dziedzictwa na sobie. Z mojej grupki jeden poszedł na medycynę, inny na ASP. Część pouciekała przed ruskimi, bo się strasznie bali, że jeden koszmar się skończył, to teraz przyjdzie Azja. A pokolenie, które przeżyło Wehrmacht, wróciło jako kompletne wraki. Ci ludzie już nigdy nie stanęli na poziomie swoich możliwości, choć byli szczęśliwi, że w ogóle do swojego gniazda wrócili. My, którzyśmy wojnę przeżyli na nauce, z tego gniazda wyfrunęliśmy.

MB: Ku karierze.

KK: Mnie by do głowy nie przyszło, że idę robić jakąkolwiek karierę. W ogóle. Ja chciałem być człowiekiem sztuki, chciałem być pożyteczny społeczeństwu. Chciałem służyć.

MB: Serio?

KK: Tak. Wtedy nie brało się w rachubę pieniędzy. Jeśli już, to człowiek myślał o prestiżu społecznym, że jak coś zrobi dla ludzi, to go będą szanować. To jest, sądzę, efekt myślenia jeszcze XIX-wiecznego, bo całe moje pokolenie było wychowane na tamtej kulturze, ze swej natury prospołecznej, organicznej. Zwłaszcza w moim przypadku, kiedy myśmy zawsze żyli w biedzie, ojciec i dziadkowie sprzedawali swoje ręce pracy. Dlatego w głowie miałem nie interes, a zapłatę za pracę. Ja to mam do dzisiaj, ja nie wiem, jak się zarabia duże pieniądze. Rozmawiam z kolegą reżyserem, który pracuje w reklamie, a on mi mówi, że za jeden dzień pracy w reklamie można dziś zarobić do 20 tysięcy. Taka reklama powstaje, powiedzmy, w pięć dni. To ja bym musiał w ciągu roku z pięć spektakli zrobić, i to w bardzo bogatym teatrze.

MB: Ale wtedy odnalazł się Pan w tym świecie, cudowne dziecko polskiego filmu, jak ryba w wodzie.

KK: Mnie wyjątkowo łatwo wszystko poszło. Oczywiście źle się

ubierałem, byłem biedny, ale już na drugim roku zostałem asystentem dwóch katedr w szkole filmowej. Bo miałem przydatny w zawodzie instynkt wodzowski, no i tę ogromną ilość przeczytanych książek w sobie. A człowiek się jednak bierze z książek, prawda? Więc praktycznie nie chodziłem na wykłady, za to sam dostawałem pensję asystencką, która wystarczyła na codzienne utrzymanie ze stołówką, i zostawało 30 złotych. Potem, jeszcze na studiach, wchłonęła mnie produkcja – Wajda zaprosił mnie do „Kanału”, jako jedyne go z młodszego rocznika. Ponieważ okazało się, że jestem bardzo dobrym asystentem, mając tę swoją porządność śląską, zajął się mną Kawalerowicz. I kiedy organizowały się zespoły filmowe, byłem pierwszym człowiekiem, który zapracował na samodzielny debiut. Nie miałem wtedy jeszcze 30-tu lat. Film, który zrobiłem, „Krzyż Walecznych”, uznano w tamtym roku za najlepszy w Polsce. A konkurencja była już bardzo silna.

MB: I jeszcze parę lat, a rzuci Pan wszystko w diabły i wsiądzie w pociąg do Katowic.

KK: Aż za dobrze mi wszystko szło. Myślałem, że jak mi się wszystko udaje, to nic mi nie grozi. Wystąpiłem z buntowniczym filmem „Nikt nie woła”. To był skandal zaprogramowany: patrzcie, wszystko, co robiliście, jest do niczego, ja wam pokażę, jak się filmy robi!

MB: Myślał pan już o powrocie na Śląsk?

KK: W tym czasie w ogóle o Śląsku nie myślałem. Śląsk się wydawał rzeczą nie nadającą się do kina. Byłem wobec Śląska bezradny. I w jakiś sposób go nienawidziłem.

MB: Jak?

KK: Jak tu przyjeżdżałem, to wszystko było takie samo. Nie wiedziałem, jak się do tego wszystkiego zabrać. Wie pan, Śląsk jest jednak pusty, nie ma się na czym oprzeć. Polskie kino było oparte na literaturze, na konsumpcji tekstów. Było co konsumować. Na Śląsku nie było nic.

MB: Ale w 1967 wrócił Pan.

KK: Stwierdziłem, że jałowieję, że się rozpływam w *dolce vita*. Żyłem w elicie warszawskiej pomiędzy pisarzami, ponieważ mnie filmowcy nie interesowali. Miałem słabość do kobietek. To był też okres wielkiego romansu z alkoholem. Wie pan, życie było tanie. Wódka była tania, a pozycja reżysera luksusowa. Dziś to śmieszne pieniądze, ale zarabiał się wtedy relatywnie dużo – przeliczając na pół litra, to było w ogóle nie do wypicia.

Już mi czterdziecha dochodziła i doszedłem do wniosku, że czas spoważnieć. Powiedziałem sobie – ja, *wunderkind*, który uciekł

ze Śląska – że trzeba wrócić pokornie i próbować się zmierzyć z tym molochem. Że to moja szansa i obowiązek. Muszę zrobić film o Śląsku. Ale żeby to zrobić, trzeba się było zastanowić, co to jest Śląsk.

MB: A co to jest: Śląsk?

KK: To jest sierota, bez ojca i matki. Ma tylko siebie. Nie mieścił się ani w Polsce, ani w Niemczech. Okropna ziemia. Cały czas wykorzystywana, okradana, napadana, raz polska, raz niemiecka – no, kocioł potworny! Jakby jakieś przekleństwo wisiało nad tą ziemią. I kiedy sobie ten mój Śląsk nazwałem, pojawił się szacunek do tego, co tutaj jest. I rodzaj miłości do tego, co odmienne. A dla sztuki odmienność oznacza szansę pokazania oryginalności. Dlatego „Sól ziemi czarnej” dotyczy kluczowej sytuacji, kiedy po wiekach nastąpiło rozdarcie Śląska na Polskę i Niemcy. Powstał ten przeklęty kocioł, którego Ślązacy wcale nie chcieli, bo oni zawsze byli pomiędzy, a właściwie – zawsze na dole. Żeby to wyartykułować, musiałem znaleźć poetykę podnoszącą „regionalne” do „ogólnopolskiego”. Odrzucić wszystko, co człowiek czytał i robił, całą tę Polskę szlachecką, i po prostu zrobić coś z własnego nasłuchu. Wymyślić formę.

A jak już byłem gotowy – ta wielka potrzeba powiedzenia: patrzcie, to jest takie! To jest wielkie! I to jest moje! Ci wszyscy fantastyczni ludzie są stąd, tylko wy o tym nie wiedzieliście! Do

dziś ludzie mówią mi, że nie znają takiego natężenia miłości do ojczyzny jak w moich śląskich filmach. Faktycznie, te filmy są wielkim krzykiem dziecka porzuconego przez matkę.

MB: A potem Śląsk Pana odrzucił.

KK: Idąc za ciosem, chciałem tu założyć zespół. Po to, żeby na jego podstawie mogło powstać regionalne centrum filmowe. Te moje filmy były dobrą do tego przygrzywką. To był jedyny zespół, który był poza Warszawą. Pomysł był taki, żeby zaprosić filmowców, reżyserów, scenografów, stworzyć im tu miejsce, które wykorzysta ich talenty i na bazie Śląska realizować programy w kinie i w telewizji regionalnej. Ekipa Gierka była przy władzy, sekretarzem do spraw ideologii był ten... jak on się nazywał... Szydlok. Pojechałem do niego z projektem takiej małej wytwórni filmowej. I mówię: proszę pana, macie władzę, zróbcie coś, chodzi o odrabianie niedoborów kultury górnośląskiej, to nie może być cały czas kolonia!

No i nic. Nie byłem Zagłębiakiem, nie byłem członkiem partii. A jednocześnie mówiłem cały czas to, co myślę, bez „ogródek”. Zostałem więc wrogiem publicznym. Nie tylko perspektywy filmowe, ale i moja egzystencja osobista się kompletnie skończyła. Tu nie było możliwości pracy.

MB: No i znowu Pan wyjechał. Albo uciekł, jak Pan woli.

KK: Jako człowiek zdrowy, uciekłem ze strefy zakażonej. Żeby móc w ogóle pracować. Zachowałem się jak zdrowy szczur, prawda?

MB: Nie szkodzi, dzisiaj też wszyscy stąd wyjeżdżają...

KK: Bo tam są pieniądze i decydenci.

MB: Ale żeby zrobić film o Śląsku, na przykład „Serce z węgla”, to przyjeżdżają inni.

KK: Dlatego, że, jak to się mówi, mieli dojście na Woronicza. A tutaj jest pełny analfabetyzm i ubezwłasnowolnienie. Szkoda, bo Śląsk naprawdę ma pokrycie, żeby być źródłem sztuki. Są młodzi reżyserzy, jest szkoła filmowa, wydziały teoretyczne – wszystko, żeby ujawniać potencjał odmienności Śląska.

MB: W „Soli ziemi czarnej” pyta Gabriel, czemu nam Polska nie pomogła, a Erwin odpowiada: „Może nas mo kajs”. A dziś?

KK: Dzisiaj jest coś gorszego: nieżyczliwa obojętność dla Śląska. Przeciwno temu trzeba się buntować. Moje filmy takie były. O powstaniu, o strajku, o Habryce, który walczy o swoje. Myślę, że w jakimś sensie Śląsk jest ostatnim regionem w Polsce, w którym cała nadzieja w związkach zawodowych.

MB: Socjalista z Pana.

KK: Ja jestem liberałem, ze zdecydowanym skrętem w lewo. Nie bez powodu lewica – ta bardziej okrzęsana – daje mi nagrody... (*śmiech*) I to nie ma nic wspólnego z rewolucjonizmem radzieckim. To jest bardzo europejskie. Moi rodzice byli PPS-owsami. Matka była radną miejską, pyskowała, więc się jej wszyscy bali. I ja od moich dzieci chciałbym tego samego, żeby się buntowały w słusznych sprawach. Bo to jest prawdziwe szczęście, żeby się buntować i żeby był z tego jakiś pożytek. Bo cały czas trzeba się buntować, także wobec siebie.

MB: Matka byłaby z Pana zadowolona?

Jak ją ostatni raz widziałem, właściwie żegnałem się z nią, ponieważ ona wiedziała, że odchodzi, pocałowała mnie w rękę i podziękowała, że się na mnie nie zawiodła. A na koniec powiedziała: Nie musisz się o mnie martwić, bo na trumnę mam odłożone.

Rozmowa odbyła się w 2003 r.

***Kazimierz Julian Kutz** – urodził się w 1929 roku w Szopienicach, reżyser teatralny oraz filmowy, poseł VI kadencji.*

Jego rodzicami byli Franciszek Kuc, który był kolejarzem, oraz Anastazja Kamińska. W młodości Kazimierz Kutz należał do Związku Harcerstwa Polskiego oraz do Czerwonego Harcerstwa Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. Ukończył Państwową Wyższą Szkołę Filmową, Telewizyjną i Teatralną. Po jej ukończeniu pracował jako asystent Andrzeja Wajdy. „Krzyż walecznych” był samodzielnym debiutem Kazimierza Kutza. Popularność przyniosły mu filmy “Sól ziemi czarnej” i “Perła w koronie”, oba opowiadały o Śląsku. Od lat 70. inwigilowany, internowany w czasie stanu wojennego. W związku z krwawymi zdarzeniami jakie miały miejsce w kopalni „Wujek” zrezygnował z piastowanego stanowiska głównego reżysera regionalnego ośrodka telewizyjnego w Katowicach. Wielokrotnie wybierany do Senatu, poseł IV kadencji. Mimo że w wyborach do obu izb parlamentu startował z określonych partii politycznych, nigdy nie był członkiem żadnej z nich. (biografia24.pl).

Marek Baster, dziennikarz, redaktor miesięcznika „Śląsk”, współpracownik m. in. „Gazety Wyborczej”, „Rzeczpospolitej” i „Polityki”, pracownik Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Przeprowadził wiele świetnych wywiadów. Jego rozmówcy, wybitni artyści, naukowcy, politycy zwierzali mu się z rzeczy i spraw, których nikomu innemu by nie powiedzieli.

Zginął tragicznie w wypadku samochodowym 7 kwietnia 2004 r.

Całe życie byliśmy zakochani



Marta Eggerth w swoim domu w Nowym Jorku, 2005 r., fot. New York Times.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Wspomnienie o Marcie Eggerth, żonie Jana Kiepury, zmarłej 26 grudnia 2013 roku w wieku 101 lat.

Rok 2002, czyli stulecie urodzin Jana Kiepury, na całym świecie obchodzony był bardzo uroczyście. 16 maja w dniu urodzin Jana Kiepury odbyła się wielka gala w „Theater an der Wien” z udziałem Marty Eggerth i Marcela Pravego, wieloletniego sekretarza Jana Kiepury. Obydwoje dla naszego wielkiego śpiewaka nauczyli się języka polskiego. – Słuchając obecnie śpiewu Marty Eggerth i jej wypowiedzi – powiedziała, uczestnicząca w tym wydarzeniu Maria Fołtyn – pomyślałam sobie, jak wielkim szczęściem został obdarzony Kiepura, że znalazł w swoim życiu tak wspaniałą – zawodowo i prywatnie – partnerkę. Marta jest prawdziwą wielką damą. I nie wiem, które z nich trzeba uznać za większego artystę – czy Jana Kiepurę, czy Martę Eggerth?

Podobno po premierze filmu „Czar Cyganerii” z 1937 roku w Berlinie, do garderoby przyszedł Hermann Göring, żeby złożyć gratulacje. Kiedy pochylił się, żeby panią Martę pocałować w rękę, zobaczył, że ta ma pomalowane na czerwono paznokcie. – Niemiecka kobieta nie maluje tak rąk – powiedział. Na to Kiepura – ona nie jest żadną niemiecką kobietą. Ona jest moją żoną.

Marta Eggerth poznała Jana Kiepurę, gdy miała 14 lat. Była

córką znanej śpiewaczki i sama już występowała na scenie. Debiutowała w wieku 11 lat w partii Olimpii w *Opowieściach Hoffmana*. Uważano ją za cudowne dziecko. W operetkach pisano partie specjalnie dla niej. Pewnego dnia do Budapesztu na gościnne występy przyjechał znany już wówczas młody tenor, Jan Kiepura...

Wiedeńska opera prosi o stały *engagement* (po) 300 dolarów za występ, dając mieszkanie w pałacu cesarza Austrii, gdzie mieszkają najznakomitsi artyści tutejsi – pisał wówczas Kiepura do rodziny... – Londyn przysłał depezę, prosząc o występy. Mario Puccini, syn kompozytora, jest moim wielkim przyjacielem, razem z naczelnym dyrektorem Ricordiego napisali do Toscaniniego projektując zaangażowanie mnie do śpiewania premiery wznowienia *Toski* i *Manon* Pucciniego w La Scali.

...Pisma piszą, że ja już nie jestem drugim Caruso, a pierwszym Kiepurą.



Śpiewak był otoczony mitem, emanował z niego wielki urok. Marta zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Potem, gdy już dorosła, przeniosła się do Wiednia. Była niezwykle utalentowana, odnosiła sukcesy zarówno na scenie operowej, jak i w filmie. Na ekranie debiutowała w 1929 roku. Zagrała w kilkunastu filmach muzycznych. Z Janem Kiepurą spotkali się ponownie w Berlinie na planie filmu „Dla Ciebie śpiewam” (1934 r.) Film miał trzy wersje językowe, niemiecką, angielską, francuską. W wersji niemieckiej i angielskiej występowała Marta Eggerth, w wersji francuskiej Danielle Darieux. Wyglądało na to, że Kiepura był bardziej zainteresowany aktorką francuską, niż Martą, która na planie filmowym była pod opieką swojej mamy.

Jan Kiepura jednak zwrócił na nią uwagę i był zadowolony (jak potem się przyznał), że Marta była w towarzystwie mamy, a nie innego mężczyzny. Kiepura miał wtedy 32 lata, a Marta 22. Dwa lata później w Polsce, w Katowicach odbył się ich ślub. W 1938 roku para śpiewaków wyemigrowała przez Paryż do Nowego Jorku. W latach 1944-1946 razem śpiewali na Broadway'u w „Wesołej wdówce” Lehara. Spektakl odniósł niebywały sukces, grano go przez 3 lata.

Po zakończeniu wojny pojawiali się przed kamerą sporadycznie. Po raz ostatni wystąpili razem w filmie „Kraina uśmiechu” z 1952 roku, wyprodukowanym w Berlinie Zachodnim. Marta Eggerth była zawsze przy nim, aż do jego nagłej śmierci w 1966 roku. Wszyscy, którzy pamiętają ich obydwój twierdzą, że byli wspaniałą parą zarówno w życiu, jak i na scenie.



Marta Eggerth i Marcel Pravy



Marta Eggerth przy portrecie Jana Kiepury.

Niedzielne popołudnie 6 października 2002. W Nowym Jorku piękna słoneczna pogoda. Telefon.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Czy rozmawiam z Panią Martą Eggerth? – Przemiły, ciepły głos w słuchawce odpowiada:

Marta Eggerth: O tak, czekałam na pani telefon.

JSG: Jak pani odbiera te niezwykle uroczyste obchody Roku Jana Kiepury na całym świecie w Wiedniu, czyli w miejscu z którym był szczególnie związany, gdzie zaczęła się jego wielka kariera, ale też i w Los Angeles, Chicago, Toronto, Australi?

ME: Jestem bardzo szczęśliwa, to dla mnie duże przeżycie. Niestety mogłam być tylko w Wiedniu. Bardzo jestem wdzięczna maestro Rozbickiemu, że przygotowuje tak uroczysty koncert w Toronto. Bardzo lubię Toronto. Bardzo lubię Kanadę.

JSG: A jak ocenia Pani obchody w Polsce?

ME: Niestety, nie mogłam być w Polsce, ale byłam tam całym sercem. Mój mąż był bardzo związany z Polską. Nigdy nie zapomniał skąd pochodzi. Przez całe życie pomagał, wysyłał do kraju pieniądze. Był bardzo dobry dla Polaków, bezinteresowny.

„Chłopak z Sosnowca”, jak sam o sobie mówił.

JSG: Polacy też zawsze byli dumni ze swojego rodaka. Pogrzeb Jana Kiepury na Powązkach w Warszawie stał się wielką patriotyczną manifestacją.

ME: Cieszę się, że tak go wszyscy pamiętają.

JSG: Pani jest Węgierką, a tak dobrze mówi Pani po polsku. Czy czuje się pani też w jakimś stopniu Polką?

ME: O, tak, on był Polakiem, więc ja też jestem trochę Polką. Na początku mówiłam do mojego męża po angielsku i po niemiecku. A on do mnie tylko po polsku. Ja płakałam, złościłam się, mówiłam, że nic nie rozumiem, że mi trudno. A on mi powiedział, że jestem jego żoną, więc muszę znać język polski.

JSG: My Polacy bardzo odczuwamy Pani polskość. Dla nas jest Pani naszą rodaczką.

ME: Ja wiem, ja to czuję. Polak – Węgier, dwa bratanki...

JSG: Spotkałam panią na Festiwalu Muzyki w Łańcucie. Był maj, piękna, słoneczna pogoda, a pani miała swój wspaniały wieczór wspomnień w Sali Balowej Łańcuckiego Zamku.

ME: Pani tam była? Bardzo piękne miejsce, piękny pałac.

JSG: Pisałam pracę na temat artystycznych dziejów tej magnackiej rezydencji. Zbierając materiały trafiłam na ślady występów Jana Kiepury na łańcuckiej scenie, za czasów ostatniego ordynata Alfreda Potockiego. Brat Alfreda, Jerzy Potocki był przez szereg lat ambasadorem Polski w USA. Jego żona, Peruwianka, też dla niego nauczyła się języka polskiego.

ME: Och tak, znaleźliśmy ich. Mój mąż wiele razy występował w ambasadzie.

JSG: Jak Pani wspomina swojego męża?

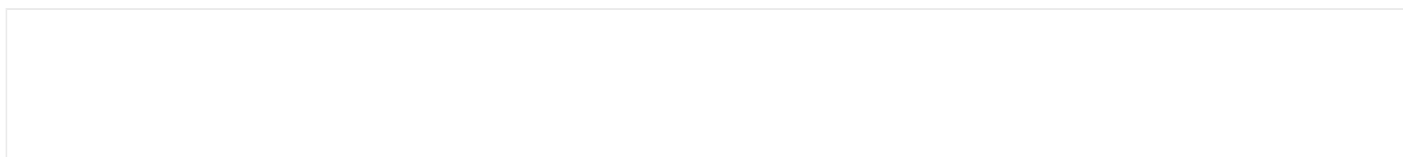
ME: Był najlepszy na świecie. Całe życie byliśmy zakochani. Był czuły, troskliwy, nie było lepszego męża, ani człowieka. Całe moje życie, to właśnie mój mąż. Teraz młodzież tak szybko tyle nie osiąga. On miał 24 lata i już grał główną rolę w "Turandocie".

JSG: Państwa syn też jest artystą, tylko że pianistą.

ME: Marianowi, który niedawno nagrał płytę z utworami Chopina, zaproponowali występ. Ale on jest taki skromny. Nie zgodził się. Muszę przyznać, że mam najlepsze dzieci na świecie.

JSG: Czy był w Pani życiu moment szczególnie ważny, który Pani wyjątkowo wspomina?

ME: Nic takiego szczególnego w tej chwili nie przychodzi mi do głowy. było tyle rzeczy. Byliśmy bardzo romantyczną parą od początku do końca. Jedno co mogę powiedzieć o moim życiu, że było w nim bardzo dużo radości, bardzo dużo śmiechu, ale też i bardzo dużo łez.



Galeria



Marta Eggerth i Jan Kiepura



Marta Eggerth



Marta Eggerth



Marta Eggerth

